

**DOMAŃSKA  
ANTONINA**

PAZIOWIE

KRÓLA

ZYGMUNTA

Domańska Antonina  
**Paziowie króla Zygmunta**

«Public Domain»

## **Antonina D.**

Paziowie króla Zygmunta / D. Antonina — «Public Domain»,

Kilkunastoletni chłopcy, paziowie króla Zygmunta, muszą pamiętać o nienagannym zachowaniu, manierach i honorze, ze względu na pełnioną funkcję. Młodość jednak ma swoje prawa — chłopcy w wolnym czasie nie stronią od żartów i figli. Ich psoty przyjmowane są różnie — niektórych bawią, innych — zwłaszcza damy — oburzają i przerażają. Czy jednak młodzieńcy zdolni są tylko do naigrywania się z innych? Ich historia nie tylko bawi, lecz także ukazuje dworskie obyczaje i oblicza przyjaźni. Paziowie króla Zygmunta to jedna z powieści historycznych dla dzieci autorstwa Antoniny Domańskiej, tworzącej na początku I połowy XX wieku. Utwór powstał w 1910 roku, a w 1989 powstał kilkuodcinkowy serial telewizyjny dla dzieci na jego podstawie. Pisarka zasłynęła jako autorka tego typu utworów prozatorskich, w których przystępną fabułę, bliską dziecięcej rzeczywistości, łączyła z faktami historycznymi.

© Antonina D.

© Public Domain

# Содержание

Wstęp	5
Rozdział I. Figiel Krzysztofa Czemy	12
Rozdział II. Figiel Jana Drohojowskiego	25
Конец ознакомительного фрагмента.	32

# Antonina Domańska

## Paziowie króla Zygmunta

### Wstęp

Pięciu zgrabnych wyrostków, w barwie<sup>1</sup> paziów królewskich, przechodziło gwarząc, podskakując i śmiejąc się przez długi, ciemnowy korytarz, ciągnący się przez całą szerokość drugiego piętra starej, kazimierzowskiej jeszcze części zamku krakowskiego. Za nimi stapał ciężko pacholek, niosąc na plecach ogromny tłumok z pościelą.

– No, a teraz którądy? – spytał paż, biegnący przodem, zatrzymując się bezradnie w miejscu, gdzie się dwa korytarze krzyżowały.

– Prosto przed się, paniczku – odpowiedział parobek – dopiero na drugim zakręcie obrócimy<sup>2</sup> się na lewo, potem przyjdą trzy schodki na dół, znowuj<sup>3</sup> prosto, potem pięć schodków do góry, jeszcze raz na lewo, no i już.

– Dobrze mi już! Toć się człek nieszczęsny zgubić może w onym<sup>4</sup> labiryncie... – zawołał pierwszy z paziów z udanym przerażeniem.

– Ino<sup>5</sup> łaska boska, że smoka nie masz<sup>6</sup>! – dodał krępy rudawy blondynek, rzucając czapkę na najbliższego kolegę.

– Krzysztof Czema mniema, że smoka nie ma! – zaśmiał się tamten, odrzucając czapkę dalej.

– Jak to nie ma? A stara Papacoda nie smok? A Marina Arcamone nie smok?

– Hola, hola, nie tak głośno, pomnijcie<sup>7</sup>, że ściany mają uszy!

– Ostroróg własnego cienia się boi!

– Nie boję się niczego! – krzyknął dumnie zaczepiony, chłopak wysoki, o pięknych regularnych rysach, śniady jak Cygan.

– Przecz<sup>8</sup> więc przerywasz nam mowę jakimiś uszami?

– Słusznie czyni – zawyrokował najstarszy z paziów, siedemnastoletni Paweł Szydłowiecki. – Nie tylko ściany mają uszy, ale ostre języki latają po komnatach i donoszą co trza<sup>9</sup> i co nie trza, komu trza i komu nie trza.

– Bogiem a prawdą<sup>10</sup>, dzieją się tu od niejakiego czasu różne cudeńka – rzekł z cicha Jaś Drohojowski, oglądając się za siebie.

– Taj coże<sup>11</sup> znów takiego?

– Dobranoc ci, Montwiłł, jeszcześ nie dospał, że jak wieloryb na Jonasza paszczękę na mnie rozwierasz<sup>12</sup>?

– Nu gadaj, jakowe cudeńka?

---

<sup>1</sup> *barwa* – tu: mundur, mundurek. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *obrócić się* (daw.) – skrócić. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *znowuj* (gw.) – znowu. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *on, w onym* (daw.) – ten, w tym. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *ino* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *nie masz* (daw.) – nie ma. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *pomnieć* (daw.) – pamiętać; zwracać na coś uwagę. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *przecz* (daw.) – dlaczego, po co. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *trza* (gw.) – trzeba. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *Bogiem a prawdą* – mówiąc szczerze, w istocie, naprawdę. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *taj coże* (gw.) – to i cóż, no i co. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *rozwierać* (daw.) – dziś: otwierać. [przypis edytorski]

– Ano, kichnie kto w swojej izbie, jużci w jedenastej komnacie wiedzą, że ma katar. Zabawi się jeden z drugim przystojnie<sup>13</sup>, przez<sup>14</sup> obrazy boskiej, ino że świeczkę bez<sup>15</sup> noc wypalą, oho, już jego miłość pan ochmistrz Strasz skoro świt wpada i łaje. A skąd się mógł dowiedzieć? Okno jego sypialni wychodzi na wirydarz<sup>16</sup>, a nasze wszystkie na podwórzec. Którędyż uwidział? I tak co dzień coś nowego.

– Et, głupstwo, taj koniec – rzekł Montwiłł – gorzej, że nas w takie zaświaty<sup>17</sup> przenoszą. Czegóż nie pozostawili nas razem w kupie, cożeśmy to pośledniejszego<sup>18</sup> od innych?

– Nie narzekaj, nie marudź, bo nie masz o co – tłumaczył Szydłowiecki – jeżeli cały dwór się ścieśnia, jeżeli nawet królewskie osoby niewygody cierpieć muszą, to chyba nam, paziom, milczeć przystoi.

– Jaże nic nie gadam, a taki mnie żal, że nas rozdzielono od towarzyszy.

– Stare skrzydła burzą, nowy pałac ozdobny, wedle woli i gustu miłościwej pani, budowniczowie z Włoch sprowadzeni stawiać mają, to i nie dziw, że miejsca zabrakło; a trochę ciasnoty zażyć się godzi, zanim wspaniałe komnaty dla waszych miłościów zostaną wykończone – kłaniając się z przesadną uniżonością Litwinowi, rzekł Jaś Drohojowski. – Rodzic mój powiada, że za jego młodości dwunastu było paziów i usługa wedle króla jegomości szła składno, jak na kółkach.

– Toć i za pierwszej żony miłościwego pana, nieboszczki królowej Zapoły<sup>19</sup>, także ponoć nie było ich więcej. Dopiero z nową panią nowe nastają czasy: zamek za ciasny, paziów dwustu, a usługa licha; *parlare italiano*, utrapiare polono, wymyślare androno, *nulla niente di buono*<sup>20</sup> i tak dalej... Czy prawdę mówię?

– Mądrze i słusznie, Mikołajku!

– Na miły Bóg... pókiż<sup>21</sup> tymi zaułkami wędrować mamy? – krzyknął zniecierpliwiony Szydłowiecki.

– Wždy<sup>22</sup> gadałem waszej wielmożności – odparł pacholek flegmatycznie – że dwa razy na lewo, raz na dół, raz na górę, a my dopiero jedne schodki minęli.

– Gedroyć!

– Boner! – krzyknęli ze zdziwieniem chłopcy na widok dwóch paziów biegnących z przeciwnej strony ku nim. – Skędżeście się tu wzięli?

– Jędrus mi chciał pokazać naszą nową sypialnię – odpowiedział Konstanty Gedroyć – i zanimeście się spakowali, jużemy tu przybiegli.

– Jakżeście trafili?

– Ja bym miał nie znać grodu, każdego krużganka, każdego zakamarka? – zaperzył się Boner.

– Co on się tak buci<sup>23</sup>, ten krasomędrek?

– Nie łajże mu, bo sprawiedliwie gada: toć od małego dziecka kręci się po całym grodzie, po podwórcach, po wirydarzach, lepiej chyba zna one wszystkie zakątki niż sam król jegomość.

– I nic mu za takowe wścibstwo?

<sup>13</sup> przystojnie (daw.) – tu: przyzwoicie, właściwie. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> przez (tu gw.) – bez. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> bez (tu gw.) – przez; bez noc – przez noc, w ciągu nocy. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> wirydarz (daw.; z łac. *viridarium*: ogród, park) – wewnętrzny dziedziniec, otoczony krużgankami (długimi gankami), często z ogrodem lub studnią. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> zaświaty – tu: odległe miejsce. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> pośledni (daw.) – gorszy. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> Barbara Zápołya (ok. 1490–1515) – polska królowa w latach 1512–1515, pierwsza żona Zygmunta Starego. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *parlare italiano*, *utrapiare polono*, *wymyślare androno*, *nulla niente di buono* – żartobliwa stylizacja na język włoski: mówić po włosku, dokazywać po polsku, wymyślać androny (bzdury), nic dobrego (niegrzeczne dzieci). [przypis edytorski]

<sup>21</sup> pókiż – tu: jak długo. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> wždy (daw.) – przecież. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> bucić się (daw.) – pysznić się, przechwalać się. [przypis edytorski]

– Wnuczek pana żupnika i wielkorządcy miasta... ino tyle rzekę<sup>24</sup>. Pokąd<sup>25</sup> był maluśki, to za panem dziadkiem biegał a poły<sup>26</sup> się imał<sup>27</sup>; skoro zaś podrośł, wszędy go pełno, a ot, trzeci rok mija, jak paziem ostał<sup>28</sup>.

– Słuchajże, Jędrak... dobrze nam tam będzie?

– Niezgorzej, niezgorzej; przestronno, ustronno, stary Strasz trzy razy się zatchnie i trzy razy spocznie, zanim do nas dolezie. W Bogu nadzieja, że nieczęsto nas będzie nawiedzał. Jedno mi nie na rękę...

– Coże?

– My na lewo w jednym kącie, a czwarte drzwi na prawo fraucymer<sup>29</sup>.

– Wiwat!

– Kamilla!

– Lauretta!

– Beatrycze!

– Hipolita!

– Geronima!

– Aha, cieszcie się, błazenkowie! Po pierwsze, takie dorosłe i przerosłe panny ani patrzą na nas, a po drugie, ich pokoje położone są w głębi, od strony zaś naszego korytarza ino komnaty signory Izabeli Papacoda i Mariny Arcamone.

– Niechże cię nie znam z taką nowiną!

– Oho, stary Krabatius głowę beze<sup>30</sup> drzwi wyścibia, widno go przeniesiono, jako i nas, na insze mieszkanie.

– Któż to jest? – spytał Gedroyć, niedawno do Krakowa przybyły.

– Medyk pana marszałka Kmity.

– Nie znam go; muszę się mu przypatrzeć.

Chłopcy, doszedłszy do drzwi swego nowego mieszkania, pchnęli Kubę z pościelą do izby, a sami nie kwapili się z wchodzeniem, obiecując sobie jakąś śmieszłą krotochwilę ze spotkania z magistrem Johannesem Krabatiusem.

Tenże, człowiek niemłody, w czarnym aksamitnym długawym ubraniu i takiejże płaskiej czapeczce na łysinie, stał we drzwiach swej komnaty i poglądał w korytarz przez szkła osadzone w rogowych widełkach na długim trzonku, które przysuwał prawą ręką do oczu, wyciągając jeszcze naprzód chudą szyję, ruchem właściwym krótkowidzom. Bocianiej cienkości nogi, o dużych płaskich stopach, tkwiły w czarnych pończochach i czarnych safianowych trzewikach, zakończonych według najnowszej mody niepomierne szeroko.

– Pan Szydłowiecki, pan Boner, panowie pазie... dobry wieczór. Co tu oni mają za jaką robotę? – zapytał Niemiec łamaną polszczyzną.

Przez twarz Jasia Drohojowskiego przeleciało drgnienie złowrogie, zwykła zapowiedź mniej lub więcej szalonego figła. Podbiegł z uprzejmą miną do Niemca:

– Dzień dobry, panie magister: my tu na nową kwaterę, wasza miłość takóž<sup>31</sup>?

– Moja miłość takóž.

– Ach, co za szkoda, że sypialnia pana magistrza wychodzi na północ... przy waszym niemocnym zdrowiu...

---

<sup>24</sup> *rzec* (daw.) – powiedzieć. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *pokąd* (daw.) – dopóki. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *poła* – brzeg ubrania (płaszcz, marynarki itp.). [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *imać się* (daw.) – trzymać, chwycić. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *ostać* (daw.) – zostać. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *fraucymer* (z niem. *Frauenzimmer*) – komnata kobiet, pokój dla dam. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *beze* a. *bez* (tu gw.) – przez. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *takóž* (daw.) – dziś: także. [przypis edytorski]

- Ja nigdy nie wychodzę na północ. Dwadzieścia jedna godzina, to ja już dawno śpię.
- Słusznie to waszmość czyni: ale co inszego chciałem rzec: powiadam, co okna są od północy.
- Ach tak... to jest bardzo niedobrze... od północ...
- A zwłaszcza że wasza miłość taki błady od kilku dni; przymizerniał srodze.

Mówiąc to, Drohojowski kopnął najbliżej za sobą stojącego kolegę wzywając jego pomocy. Jędrus Boner, jedyny do conceptów, w mgnieniu oka się zorientował i niby półgłosem do siebie, ale tak, że każde słowo wyraźnie było słyhać, mruknął:

- Biedny człowiek... zmienił się nie do poznania.
- Co on mówi?
- Nic, nic, niech się wasza miłość ciepło odziewa, o febrę<sup>32</sup> nietrudno.
- Nie stójcie w tym ponurym, wilgotnym korytarzu, dobry panie Krabatius! – jęknął Krystek Czema z rozrzewnieniem w głosie.

– Kochane chłopcy... poczciwe dzieci... posłucham waszej dobrej rady.

I zaniepokojony medykus cofnął się do swej izby licząc puls, naturalnie ze strachu mocno przyśpieszony. Wyjął z kieszeni małe srebrne lustro, obejrzał język... brzydki; oczy wydały mu się dziwnie zaiskrzone, a białka żółte. Usiadł znękany na ławie i zdumał się gorzko.

Chłopcy tymczasem wpadli z krzykiem i śmiechem do swego nowego mieszkania i zaczęli porządkować swe rzeczy zniesione na miejsce przez służbę i porzrucane bezładnie. Siedem tapczanów z siennikami twardo wysłanymi słomą stało dokoła ścian; reszta gratów, co prawda niezbyt misternych i właścicielom jedynie miłych, a niezbędnych, leżała lub stała na podłodze.

Montwił najpierw jął przewracać między poduszkami: wyszukał swoją, porwał kilim gruby, wołokowy, co mu za przykrycie służył, i w mig posłał sobie łóżko. Ostroróg zawiesił łuk tatarski i sajdaczek niewielki na haku nad swoim tapczanem; Gedroyć, porwawszy bałałajkę o trzech strunach, puścił się w prysiu<sup>33</sup> do Drohojowskiego.

Jaškowi w to graj! Hrymnał podkówkami o podłogę i dalejże kozaka. Czema w niemym uwielbieniu patrzył na nieznany mu, a ze strasznym ogniem wykonywany taniec.

Jeden Pawełek Szydłowiecki, nie dbając na wrzaski dokoła siebie, wyjmował z tobołów bieliznę i świąteczne szatki kolegów i jak dobra matka układał je z systematycznym porządkiem w drewnianych, jaskrawo pomalowanych skrzynkach, ustawionych przy łóżku każdego chłopca.

Boner, rozpalony widokiem kozaka przez prawdziwych Rusinów tańczonego, porwał mosiężną miednicę i rzemień ze sprzączką od tłumoka i walił w przyśpieszonym tempie, ile sił starczyło...

– *Che orgia! Che demoni! Che bestie infernale!*<sup>34</sup> Czicho mi saras!<sup>35</sup> *I'orecchie mi crepano*<sup>36</sup>! Taki tańcy to piekło balet... powi saras miłościwa krolowa!

Piekielny balet zamarł w jednej sekundzie, miednica i bałałajka wypadły z rąk, oczy wszystkich chłopców skoczyły ku drzwiom otwartym, w których stała przemożna i przegruba, najstarsza dama dworska królowej Bony – Izabela Papacoda.

– Powi miłościwa pani, *che pazie diaboli incarnati*<sup>37</sup>... zawoła pan Strasz... – piszczała przeraźliwie granatowa ze złości Włoszka.

Pawełek Szydłowiecki, jedyny, który umiał po włosku, pokłonił się z uszanowaniem i przeproszał za siebie i za towarzyszy, że przez nieuważę i zapomnienie dopuścili się takiej niegrzeczności.

---

<sup>32</sup> *febra* – tu: gorączka. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *prysiu* (z ukr.) – przysiady, figury taneczne. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *Che orgia! Che demoni! Che bestie infernale!* (z wł.) – co za orgia, co za demony, co za bestie piekielne. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *Czicho mi saras!* – cicho mi zaraz. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *I'orecchie mi crepano* (z wł.) – uszy mi pękają. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *che pazie diaboli incarnati* (z wł.) – że paziowie to diabły wcielone. [przypis edytorski]

Donna Izabela przestała sapać; uprzejme słówka płynnie wypowiedziane złagodziły jej furję; spojrzała nawet dość mile na przystojnego i układnego pazia i całe zajście byłoby się ku zadowoleniu wszystkich zakończyło, gdyby nie... Kupido! Nie ten malutki bożek skrzydlaty z zawiązanymi oczkami, ach nie!

Był to inny Kupido, czworonożny, z wydłużonym pyszczkiem i cieniuchnymi nóżkami... najukochańszy charcik signory Papacody. Przez nie domknięte drzwi komnaty wybiegł za swoją panią, a usłyszawszy wrzaski wpadł, szczekając zajadle, między paziów, rzucił się na oślep z wściekłością i ostrymi ząbkami rozdarł jedwabną nogawicę małego Czemy, kalecząc go przy tym w nogę.

Wtedy Krystek, acz cichy i ślamazarny, nie pozbawiony jednak ludzkich uczuć, kopnął psa z całej siły tak, aż na łokieć<sup>38</sup> w górę wyleciał i skomląc żałośnie, skrył się w gęstych fałdach sukni donny Izabeli.

Włoszka syknęła przez zęby jakąś specjalną klątwę, chwyciła pieska na rękę i trzasnąwszy drzwiami, aż szyby zadzwoniły, pobiegła do siebie.

– Nu, ależ baba wąsata! Chciałby ja za rok mieć pół takie wąsy! – dziwował<sup>39</sup> się Montwiłł.

– Wąsy, nie wąsy... – westchnął Szydłowiecki – będzie jutro bigos<sup>40</sup>.

– Komu? Chyba nie nam, ino tej starej włoszczyźnie – zapiszczał Krystek oglądając swą zadraśniętą łydkę. – Wždy ludzie ważniejsi od psów!

– Ale pies panny Papacody to coś wcale przedniejszego niż jakiś tam durny paż – drwił Ostroróg.

– Patrzcie, patrzcie, jak się Czema zaindyczył...

– Kto by się spodział, takie to zawsze potulne...

– Jam go miał za ciepłe piwo... – podjudzali malca koledzy.

– Durny paż? Ja wam pokażę durnego pazia! Jeszcze mnie dotąd nie znali!

– Krzysztofie Czemo, zaklinam cię, wyznaj, co zamýślasz uczynić? – z udanym patosem zawołał Drohojowski.

– Wspomnicie moje słowo; zapłacę ja onemu Kupidynekowi z nadsypką<sup>41</sup>; rodzic by się mnie wyparł, gdybym się nie pomścił.

– Na psie? Cha, cha, cha!...

– Jemu doczynię, a jego pani zapłacze.

– A kto on zac, ten malec? – spytał z cicha Gedroyć Drohojowskiego.

– Syn kasztelana gdańskiego; ród możny i wielce szanowany w województwie pomorskim.

– Ojoj, chłopcy... Odmiwās idzie! – krzyknął Montwiłł wskazując na przypiecek.

– Cóż znowu? Co ci się увидziało?

– A prawda, chrząka na umor, aże grzmi w całym korytarzu.

– Chrząka? To zły znak.

– Już mu ta stara jędz nabajała<sup>42</sup>, co wlażło.

– O rety!... Szydłowiecki... stań na wierzchu<sup>43</sup>, on cię lubi, mniej będzie łajał.

– Bóg ci zapłać, wolę nie.

Hhrrrum... zahuczało donośnie i jegomość pan Stanisław Odrowąż Strasz wszedł majestatycznie z groźną miną do izby.

– Matko najśliczniejsza... wie wszystko... – szepnął Czema na ucho Ostrorogowi.

---

<sup>38</sup> łokieć – daw. miara długości, ok. 0,6 m. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> dziwować się – dziś: dziwić się. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> bigos – tu: awantura. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> z nadsypką – dziś: z nawiązką; dać więcej, niż się należy. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> bająć (daw.) – kłamać. [przypis edytorski]

<sup>43</sup> na wierzchu – tu: na przedzie. [przypis edytorski]

- Cóż, chłopcy, roztasowaliście się<sup>44</sup>. W skrzynkach groch z kapustą? Hhhrum.
  - Już poskładane podług rozkazu waszej miłości; może racycie zajrzeć do skrzynek, jak porządnie wszystko leży: bielizna po jednej stronie, a...
  - Dobrze, dobrze; nie zapraszałybyś tak skwapliwie, gdyby co szwankowało.
  - Nie wie o niczym – mruknął Drohojowski.
  - A gdzież to Montwiłł? Raz na zawsze przykazałem, po zachodzie słońca wychodzić nie wolno i basta.
  - Oooh... – dało się słyszeć stękanie za kapą komina – głowa mię tak strasznie rozboleła, więc ległem co niebądź zdrzemnąć się, za pozwoleniem waszej miłości.
  - Za moim? Kiedyżeś mnie o pozwolenie pytał? A ty, Czema, co się tak wciskasz za Mikołkę?
  - Nogawicęm rozdarł, proszę waszej miłości.
  - Pewnikiem z psikusów? Hhrrrum.
  - Nie, widział się z Papacodą... – zaszemrało w stronie Bonera.
  - Na gwoździu zaczępiłem.
  - Oddaj w czas rano do szatni, to ci Salomeja albo Grzybowska naprawi. A przykażcie Kubie, coby was skoro świt pobudził; Szydłowiecki i Gedroyć jutro na służbie przy osobie miłościwej pani.
  - Za łaską pana ochmistrza, mógłbym się zapytać, którzy wraz z nami na pokoje iść mają?
  - Zbędna ciekawość; dowiesz się jutro. Zresztą drobnostka to, nie tajemnica. Herburt, Zbylitowski, Pieniążek, Stadnicki, Tarnowski, Zborowski, Korybut, Kazanowski, Bielski i Czarnkowski.
  - Dziękuję waszej miłości.
  - Barwa odświętna, ciżmy<sup>45</sup> nowe, zachowanie jak najprzystojniejsze, bym się was nie powstydział!
  - Panie ochmistrzu, toć...
  - Milczeć! Wiem, co mówię. Niejednokrotnie już dochodzą mnie słuchy o nieokiełzanych swawolach waszych; nie próbujcie mej cierpliwości, bowiem wątła jest i łatwo<sup>46</sup> się zrywa. Jak wam to zresztą z dawna wiadome.
  - Wasza miłość nam przygania, zawždy ino nam... wszak paziów jest dwustu!
  - Tamci stu dziewięćdziesięciu trzej to baranki bieluchne naprzeciw was; Boner jeden obstoi za czterdziestu.
  - Żeby ino złapał tego, co o mnie takowe oszczerstwa sieje!
  - Milczeć! Już ja was znam jak złe szelągi, niecnoty jedne! Gedroycia mniej, bo za krótki czas; że się ano was czepił od pierwszego wejrzenia, to mi starczy; poznał swój swego! Co się zasię tyczy nowego mieszkania, ostro przykazuję sprawiać się skromnie, przez hałasów, przez krzyków; w pobliskości są sypialnie panów medyków, komnaty panien dworskich.
  - Bóg łaskaw na sługi swoje... nie widział się z tą czarownicą.
  - Ale, nie, Krystek... chodź ino bliżej – rzekł pan ochmistrz i pokręcił za ucho nieszczęsnego Czeme – jakże to pieskowi signory Papacody? Amor... Kupido... nie pomnę.
  - Bo on mnie ugryzł do krwi! Niech wasza miłość pojrzy...
  - Ugryzł cię? A... to co inszego; ale po cóż kłamałeś, żeś rozdarł na gwoździu? Dzwonią na wieczerę, marsz!
- I ruszył przodem, a chłopcy w podskokach za nim. Nie wszystkim jednak pilno było: Jędrus Boner i Krystek Czema wlekli się na ostatku, zawzięcie o czymś rozprawiając.
- Jędreku... mojęś ty, pójdiesz ze mną do miasta jutro rano? Tyś mądry i sprawny do wszystkiego, a ja bym sobie nie dał rady.

---

<sup>44</sup> *roztasować* – tu: rozpakować. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *ciżmy* – daw. rodzaj obuwia o czubkach wywiniętych nieco w górę. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *łatno* (daw.) – szybko, łatwo. [przypis edytorski]

- Ehe, a Odmiwas co na to?
- Wždy nie łązi za mną jak niańka; służby jutro nie mam, skoczmy do miasta jak po ogień i w te pędy z powrotem.
- Ino, jak... tego... to drzwi zasuń dobrze, coby cię kto nie spłoszył.
- To się wie; Szydłowiecki i Gedroyć na pokojach królowej, Montwiłł nikomu nie wadzi, ino mu spanie w głowie, Jasiek z Mikołką mają iść na palcaty<sup>47</sup> do tamtych, a my dwaj... no bo mi pomożesz i przy robocie, prawda?
- A jakże; nie pomógłbym? Naczynie jakie dobre masz?
- Jak będziemy wracali z miasta, można będzie kupić garnek po drodze.
- U Kasprowej?
- Lepiej u Maguliny, co pod Długoszowym domem z garnkami siedzi; prosto od niej skoczmy na górę i jużeśmy w domu.
- Słuchaj no, o kiełbasie nie zabacz<sup>48</sup>.
- Ho, ho, kupię choć z pół łokcia.
- Czy się ino da zwabić?
- Ij... kiełbasa wszystko sprawi; zobaczysz, jak mnie umiłuje, ino gwizdnę, przyleci, a potem... chi, chi, chi... żeby się tylko udało!
- Co się nie ma udać? Dołoży się wszelkiego starania; no już moja głowa w tym, że go i rodzona matka nie pozna.

---

<sup>47</sup> *palcat* – kij bojowy, broń ćwiczebna przy nauce szermierki. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *zabaczyć* (daw.) – zapomnieć. [przypis edytorski]

## Rozdział I. Figiel Krzysztofa Czemy

Już od pierwszych chwil przybycia swego do Polski założyła sobie królowa Bona szereg zmian, upiększeń, przeróbek w starej, wiekowym trwaniem czcigodnej siedzibie Piastów i Jagiellonów, a Zygmunt, zakochany w młodziutkiej żonie, wszystkim jej zachciankom przytakiwał, na wszystkie nowości pozwalał.

Jak już z rozmowy chłopców dowiedzieli się czytelnicy, pierwotna liczba paziów pomnożona została blisko dwadzieścia razy; najstarsze części zamku burzono, by na ich miejsce wznieść nową, piękną budowlę, pałac w stylu Odrodzenia.

I urodzajne sady, rozsiadłe od wieków na stokach wawelskiej góry, nie znalazły łaski przed obliczem młodej pani. Stare grusze i jabłonie w pobliżu komnat królowej padły w pierwszym zaraz roku pod ciosami siekiery, a ogrodnicy włoscy sadzili co wiosną i co jesień z niezmiernym trudem sprowadzane krzewy południowe, kopali sadzawki, urządzali fontanny, grupowali piękne klomby, a w cieniu wonnych krzaków migdału wyznaczali miejsca na ławki, które znów kamieniarze, ociosawszy foremnie, jak najspieszniej wkopywali w ziemię.

Na szczęście, wirydarzyk maleńki, ulubiony zakątek królowej Barbary Zapolyi, wciśnięty w załomie góry u stóp Baszty Sandomierskiej, uszedł bacznym oczu ogrodników, czyli też może jedno słówko z ust króla powstrzymało ich zapał, dość że parę lip rozłożystych, jabłonka, śliwek i wiśni kilka ocalało od śmierci, a w miejscach do słońca zwróconych kwitły konwalie wiosenną porą, później róże, lilie, malwy i ostróżki na grządkach, a w głębi pod murem srebrzystozielone mięty, ruta drobnolistna i fiołkowe główki macierzanek.

W tym to ustronnym ogródku bawiły się całymi dniami sierotki po Barbarze, malutkie królowy Jadwiga i Anna, pod dozorem pani Szczepanowej, starej doświadczonej służebnej, która jeszcze nieboszczkę królowę była wyniańczyła.

Gdy w roku 1520 umarła młodsza dziecinka, czteroletnia księżniczka Anna, starsza Jadwiga, nieco zaniedbana przez obojętną macochę, rosła swobodnie pod opieką najzacniejszej i całą duszą przywiązaną niańki, która jednak mimo najlepszej woli nie umiała wychowywać córki królewskiej tak, jak tego jej wysokie urodzenie i przyszłe stanowisko wymagało. Pani Szczepanowa była kobietą prostą i jedynie skutkiem długiej służby przy dworze nabrała trochę ogłady. Od śmierci Anusi minęło lat cztery, a jedenastoletnia księżniczka Jadwiga prócz pacierza, łatwych ręcznych robótek i odrobiny włoskiej mowy – nie umiała nic więcej.

Nazajutrz po przeprowadzce paziów dobrze już było z południa, gdy drzwi przedsionka zamkowego, prowadzące na ogród, służba otworzyła na rozcież, a w nich ukazała się królowa z orszakiem swych ulubionych Włosek i kilkunastu paziów.

Sześć lat minęło, odkąd piękna księżniczka mediolańska poślubiła Zygmunta I, a uroda jej wspaniała nie tylko nic nie straciła na swej świetności, ale owszem wzmogła się i przyodziła majestatem. Królewski małżonek, zakochany nieledwie do szaleństwa, uwielbiał jej wdzięki, jej wszechstronne wykształcenie, jej dowcip wykwinny, a nie widział – czy nie chciał widzieć – licznych wad i brzydkich stron jej charakteru, którymi w późniejszych latach zatruwała mu życie i ciężko się dała we znaki nielubianemu przez się narodowi.

W czasie owym jednak była Bona zjawiskiem precudnym, jedną z najpiękniejszych niewiast na świecie.

Szła tedy<sup>49</sup> wysoka, kształtna, pełnej a smukłej kibici: w każdym calu królowa. Główkę jej wieńczyły faliste zwoje bujnych złotych włosów, zdobne upięciem splecionym z pereł; delikatna płeć<sup>50</sup> blondynki w przeciwieństwie do hebanowych brwi i ciemnych wielkich oczu olśniewała białością;

---

<sup>49</sup> *tedy* (daw.) – więc. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *płeć* (tu daw.) – cera, skóra. [przypis edytorski]

długi, zgrabny nos i bródka śliczna zaokrąglona tworzyły całość nad wszelki wyraz piękną. Suknię miała z jedwabiu srebrzystego, haftowaną w girlandy z róż. Stanik głęboko wycięty w kwadrat, a krojem swym przedłużającym niepomiarnie kibić, miał z przodu trzy równoległe wyszycia z drobnych pereł. Rękawy bardzo wąskie rozszerzały się powyżej łokcia, a ściągnięte srebrną wstęgą sterczały na ramieniu sztywną bufą. Spódnica, układana w grube fałdy, rozciągała się po ziemi, co było uważane za konieczne dopełnienie stroju i nazywało się powłokiem. Złoty łańcuszek, wysadzany drogimi kamieniami, otaczał szyję Bony i przytrzymywany u góry diamentową przepinką, spadał aż do pasa, gdzie znowu zakończyła go klamerka z rubinów.

Królowa przebierała od niechcenia palcami ogniwa łańcucha, okazując przy tej niby bezwiednej zabawce wążutką małą rączkę i pierścionki drogocenne na długich, różowo zakończonych paluszkach. W lewej ręce trzymała cieniuchną chusteczkę z szerokim szlakiem koronkowym.

Damy dworskie, same Włoszki, towarzyszyły królowej. Izabela Papacoda niosła krosienka najjaśniejszej pani; Marina Arcamone, ochmistrzyńni dworu, miała w pogotowiu duży wachlarz od słońca; Laura Beltrani, lektorka, dźwigała kilka tomów poezji<sup>51</sup> do wyboru; Beatrycze de Macris – kosz z jedwabiami i perełkami; Lukrecja Caldorra i Hipolita de Opulo, najmłodsze z dam dworskich, nie zaszczycone w tym dniu żadnym poleceniem, szły na ostatku i szeptały sobie widno coś bardzo wesołego, bo to jedna, to druga zasłaniała usta chusteczką, tłumiąc niestosowne w pobliżu królowej chichotanie. Sześciu paziów w barwie Sforzów postępowało po obu stronach alei równoległe z paniami, drugich sześciu zamykało orszak królowej.

Pan ochmistrz wybierał zazwyczaj najurodziwszych i najrzęczniejszych ze swych wychowanków do usług miłościwej pani. Ani ospały Montwiłł, ani przysadzisty Czema, ani Wiśniowiecki jąkała, ani czerwonowłosy Kosta nie dostępowali tego zaszczytu. Za to król jegomość nie zwracał uwagi na powierzchowność, dla każdego z malców zarówno bywał łaskawym i sprawiedliwym.

Na co dzień nosili paziowie szaraczkowe lub granatowe sukienne ubrania; od święta i na służbie musieli być strojnie przyodziani. Dziś więc każdy z dwunastu miał berecik jasnoszafirowy, aksamitny, z białym strusim piórkiem, koszulę białą, atlasową, z koronkową kreską<sup>52</sup>, suto marszczoną i sztywnie przylegającą do szyi aż pod same uszy. Szatka zwierzchnia z tego samego aksamitu co beret, nisko wycięta wzorem kobiecych sukien, a wdziewana przez głowę i dlatego zwana nasuwaniem, nie miała wcale zapięcia ani guzików; w pasie zaś przytrzymana była złotą taśmą, u której wisiała jedwabna torebka. Sute rękawy ujęte były w trzy bufy i ponacinane szeroko w kilku miejscach, przez które to przecięcia wyglądał biały atlas koszulki; od ramienia po łokieć aksamitne, od łokcia do ręki białe atlasowe, zakończone koronką dokoła ręki. Nogawice bardzo obcisłe, z niebieskiego jedwabiu, także safianowe<sup>53</sup> cizemki.

Donna Marina Arcamone, wysoka siwiejąca brunetka, złagodziła swe zazwyczaj złośliwe skrzywione usta słodkawym uśmiechem i z wyrazem uwielbienia słuchała słów królowej, rzucając od czasu do czasu jakieś krótkie zdanie dla podtrzymania rozmowy. Orli jej nos, zapewne bardzo kształtny za młodu, zaostrzył się z biegiem lat i począł mieć niejakię konszachty z brodą, która się ku niemu uprzejmie wysuwała. Brwi, podniesione wysoko nad wypukłymi oczami, nadawały jej twarzy wyraz wiecznego pytania. I rzeczywiście pytanie, a raczej badanie i podpatrywanie były treścią jej życia i zajęcia przy dworze. Z lubością wywiadywała się o ważniejszych, mniej ważnych i zupełnie błażych zajściach, snuła domysły, a czasem nawet przedła leciuchne, pajęczne nici intrygi.

– Warto by zajrzeć do nowego ogrodu – rzekła Bona – ciekawam, jak się sprawiają moje pinie<sup>54</sup> i cyprysy i co Paolo obsadził dokoła altany.

<sup>51</sup> *poezyj* – dziś popr. forma: *poezji*. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *kreszka*, właśc. *kryza* – kolisty marszczony kołnierzyk, element stroju dworskiego w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

<sup>53</sup> *safianowy* – wykonany z barwionej koziej skóry, wyprawianej przy użyciu garbników roślinnych. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *pinia* – drzewo iglaste rosnące w krajach śródziemnomorskich. [przypis edytorski]

– Wasza królewska mość raczy sobie skrócić drogę przez wirydarzyk czy woli obejść wzdłuż murów? – spytała Beatrycze de Macris.

– Ach, oczywiście, że lepiej prosto niż kołować – odparła Bona. I całe towarzystwo skierowało się ku ogródkowi księżniczki Jadwigi.

Dziewczynka klęczała właśnie przed krzakiem róży i ostrym nożykiem obcinała przekwitłe kwiatki. W cieniu lipy na ławce darniowej siedziała Szczepanowa i szyła jakąś bieliznę. Na widok przechodzącej królowej staruszka dźwignęła się z trudem i skłoniła pokornie; mała królewna przerwała także swe zajęcie, powstała z klęczek i złożyła ukłon nie przynoszący niestety wielkiego zaszczytu jej wychowawczyń.

Bona skinęła z lekka głową i uśmiechnęła się do signory Arcamone ze wzgardliwą litością. Gdy jednak minęły wirydarzyk, przystanęła, coś sobie jakby przypominając, i rzekła do ochmistrzyni:

– Zechciejcie poprosić królewnę, by się połączyła z nami i przeszła do nowych ogrodów, gdzie zasiądziemy z robotą i słuchać będziemy zajmującej lektury.

Stara dama zawróciła skwapliwie i pobiegła, o ile jej nogi starczyły, do wirydarza.

– Przychodzę z zaproszeniem od najmiłościwszej pani na robótkę i czytanie w nowym ogrodzie – wyrecytowała urzędowym tonem, bez cienia uprzejmości.

Dziewczynka skrzywiła się nieznacznie i spojrzała pytająco na niańkę.

– Proszę pójść za mną, najmiłościwsza pani czeka.

Na twarz Szczepanowej uderzył ciemny rumieniec, płótno zadrżało w jej rękach.

– Czy waszmość panna nie wiesz, jak się przemawia do królewskiego dziecka? Swojej równej gadaj, wasza miłość, „proszę pójść ze mną”. Gdyby król jegomość słyszał podobne zuchwalstwo!

– Nie przyszedłem tu po nauki do pani Szczepanowej – odparła ochmistrzyni drwiąco. – Jeżeli się tak rozumiecie na dworskich przepisach, to lepiej nauczcie jej królewską wysokość wytworniejszych ukłonów... bardzo by się to przydało, bo istotnie chyba nikt nie odgadnie, patrząc na nią, że ma z księżniczką do czynienia.

– Cicho, nianiu – głaszcząc staruszkę po rozognionej twarzy, szepnęła Jadwiga i dodała głośniej:

– ja nie zważam na mowę tej pani; słyszę ino, że jej królewska mość matka najmiłościwsza prosi do siebie, więc chętnie idę.

Podniosła główkę dumnie, nie racząc spojrzeć w stronę donny Mariny, i wybiegła szybko, ani się na nią oglądając.

Włoszka zbladła i zacisnęła pięści w bezsilnej złości...

Nie ona jedna, zacisnął je także Konstanty Gedroyć, przechodzący w orszaku paziów za królową. Widział i słyszał wszystko i gniewem wezbrało mu serce.

Księżniczka Jadwiga przysunęła się do królowej i szła ciągle tuż przy jej boku, z pogodną twarzą, jakby niepomna tylko co doznanej przykrości.

Nowy ogród zawiódł nadzieje Bony: piękne krzewy południowe, z największą troskliwością zasadzone o wczesnej wiosnie, do starannie przyrządzonej i użyźnionej ziemi, strzeżone i pielęgnowane umiejętnie przez ogrodników nie chciały się jakoś przyjąć, wyglądały słabo i wątło, marniały w oczach, a niektóre z nich uschły na dobre i wznosiły w górę nagie, czarne badyle. Królowa spoglądała z gorzkim uśmiechem na biedne karłowate roślinki, obeszła kilka ścieżek, dotknęła ręką wędnąjących liści, pochyliła się nad grządkami zamorskich kwiatów, wreszcie ruszyła ramionami i rzekła z gniewem:

– Zaiste, martwe stworzenia rozumniej się zachowują od ludzi, nie chcąc żyć w tym kraju bez słońca i ciepła. Stęsknione oczy moje nie ujrzą już pini rozłożystych ani cytryn o połyskliwych liściach i złotych owocach, ani wysmukłych cyprysów, ani srebrnozielonej oliwy... Ach, co za kraj! Niedźwiedzi i turów ojczyzna... jakże dumną jestem, że danym mi było urodzić się w słonecznej Italii.

– Słowa najmiłościwszej pani znajdują echo w naszych sercach – rzekła z przymileniem donna Arcamone – lecz komu los pozwolił zażyć szczęścia z przebywania w pobliżu waszej królewskiej

mości, ten jako żywo nigdy dziwić się nie będzie, że dla kwiatu tak doskonałego ino boska Italia mogła być ojczyzną.

– Gdy sobie spomnę<sup>55</sup> – mówiła dalej Bona z łaskawym wejrzeniem na ochmistrzynię – to nasze niebo z ciemnego szafiru, tak precudne, tę wieczną zieleń i z różnobarwnego kwiecia kobierce, to słońce pełne żaru, te wonne gaje pomarańczowe, a patrzę na smętne szare obłoki, przysłaniające przez połowę roku blade słońce Północy, próżne siły żywiącej, gdy widzę one wierzby i brzozy ze zwieszonymi żalobnie gałęzmi, to mi jakiś lęk serce ogarnia i zda mi się, że nie wytrwam na tym wygnaniu i raczej królowanie porzucę, byle...

– Najmiłościwsza pani... król jegomość przechadza się po tamtej ścieżce z mistrzem Bereccim; zapewne ku nam się zwróca.

– Lauretta... pojrzyj no, kto jest ten przygarbiony człek, co się tam na ławie w słońcu wygrzewa. Głowę wsparł na rękę, nie widzę twarzy.

– To magister Johannes Krabatus, miłościwa pani.

– On? Przecz<sup>56</sup> tak znękany?

– Rozkaże najjaśniejsza pani spytać go?

– Nie trzeba, sama go zagadnę.

Jedną ręką wspierając się na lasce, drugą na poręczu ławki, z ciężkim wysiłkiem powstał stary Niemiec na powitanie królowej.

– Dzień dobry, *signore*<sup>57</sup> Krabatio – rzekła Bona uprzejmie – cóż tam u was słyhać?

– Pokorne służby u stóp waszej królewskiej mości składam; ze mną jest bardzo źle.

– Czy kłopot, czy zmartwienie jakie?

– To jest największy kłopot... to jest największe zmartwienie... ja jestem bardzo słaby<sup>58</sup>.

– Nie trapiecie się waszmość; wżdy, jako medyk, łącno zwyciężycie chorobę.

– To jest właśnie największe nieszczęście, że ani przyczyny zrozumieć, ani symptomatów poznać dotąd nie mogłem. Jak piorun to na mnie nagle spadło... wczoraj w południe zdawało mi się, że ja jestem zdrow jak jedna ryba.

– A dziś?

– Na przemian ogień mię<sup>59</sup> pali, to jest mi zimno jak lód, głowa chodzi w kółko, żaden apetyt, serca pukanie, ani godzina snu... ach, darujcie mi, najjaśniejsza pani, nadto się rozgadałem; lecz wiadomo: *ex abundantia cordis*<sup>60</sup>...

– Życzliwym uchem słucham i chętnie bym ulżyła. Nie próbowaliście żadnych leków?

– Zaraz wieczorem puściłem sobie sześć uncyj<sup>61</sup> krwi; dziś południe jeszcze jeden raz tak wiele.

– Powinno się okazać polepszenie; co by to była za choroba? Ni stąd, ni zowąd; czy nie zawianie, a prędzej jeszcze *malocchio*<sup>62</sup>... nie macie posądzenia, by was kto urzekł podstępnie?

– Żaden ślad takiej myśli, miłościwa pani! Choroba już z dawna we mnie skrycie musiała tkwić, ino nie dawałem na to uwagi. Przed wieczorem dopiero paziowie, co podle mej sypialni od wczoraj zamieszkali, spostrzegli, że idzie mi źle i wiele mi przychylności okazali. Niech, jak się to nagle objawiło, Szydłowiecki sam powie, prawda? Waszmościowie ze mną sąsiadujecie; ten drugi młodzieniec także. Bardzo pocziwe chłopcy.

<sup>55</sup> *spomnieć sobie* (daw.) – przypomnieć sobie, pomyśleć. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *przech* (daw.) – dlaczego. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *signore* (wł.) – pan; zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *słaby* (tu daw.) – chory. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *mię* (daw.) – mnie. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *ex abundantia corolis* (łac.) – z nadmiaru serca. [przypis autorski]

<sup>61</sup> *uncja* – jednostka wagi lub objętości, ok. 30 g; *uncyj* – dziś popr. forma: uncji. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *malocchio* (wł.) – „złe oko”, urok. [przypis edytorski]

Gedroyć i Szydłowiecki, na poły zmieszani, na poły rozbawieni widokiem choroby z przywidzenia, którą Jaś Drohojowski jednym niebaczym żartem wywołał, stali zaczerwienieni po uszy i milczeli.

– A czyby nie było dobrze, gdybyś waszmość wyjechał na południe? Często zmiana powietrza gubi chorobę. Ot, wysyłam w tych dniach zaufanego a wielce uczonego męża do Italii, by zakupił dla Akademii Krakowskiej dzieła autorów greckich i łacińskich, świeżo wydane w typografii weneckiej. Moglibyście się wybrać razem.

– Silvius Siculus?

– Tak jest; wyjeżdża w przyszłym tygodniu. Miłym byłby dla waszmości towarzyszem, a podróż do ukochanego kraju mego, ojczyzny wszelkich nauk wyzwolonych, kolebki sztuki i poezji, odświeżyłaby i podniosła ducha waszego. Choćbyście nic więcej widzieć nie mieli, jak najnowsze dzieło mistrza Leonarda, malowidło przedstawiające Wieczerną Pańską, tuszę śmieje, że od zachwyty dusznego<sup>63</sup> zdrowie by wam w pełni powróciło. A tu... czyż w tym barbarzyńskim kraju wiedzą, czują, rozumieją cośkolwiek? Czy tu jest jaka nauka albo sztuka?

– Wdzięcznie przyjmie Akademia wspaniały dar waszej miłości – rzekł król, stając niespodzianie pomiędzy rozmawiającymi. – Cieszyć was będzie, małżonko miła – mówił dalej – gdy spomnicie, że w godne ręce dostaną się one księgi uczone; toć przeszło od wieka szkoła krakowska wydaje męża<sup>64</sup> mądrością sławne, a jej uczeń, Mikołaj Kopernikus, nieśmiertelną chwałą polskiego imienia właśnie napełnia świat cały.

Bona słuchała słów męża ze spuszczonej oczyma, zmieszana i zawstydzona.

– Proszę mam wielką, miłościwy królu – zawołał znienacka Stańczyk, nieodstępny trefniś Zygmunta I, i pokłonił się do samej ziemi, aż dzwonki u czapki zabrzęczały.

– Cóż tam nowego umyśliłeś?

– Aha, zgadłeś, królu, o nowość mi chodzi. Wybieram się jutro do Włoch; dasz mi pieniędzy na drogę?

– A ty tam po co?

– Po błazeństwo.

– Zaliż<sup>65</sup> go mało masz w Polsce? – ostrym głosem spytała Bona.

– Jest ci ta coś niecoś na codzienną potrzebę; lecz gdy wszystko zdaniem pani najmiłościwszej znamienitsze jest w tej krainie wybranej, przeto i błazeństwa nowomodnego, a doskonalszego nie gdzie indziej dostanę. Daj, królu, na drogę; zobaczycie, jakim ja to arcybłaznem powrócę.

Roześmiał się Zygmunt, zachichotali paziowie, królowa skrzywiła usta z niesmakiem, a panny dworskie, znalazłszy się między młotem a kowadłem, stały sztywne, poważne i bez wyrazu, istne lalki drewniane.

– A gdy chodzi o sztukę – mówił król, nawiązując przerwana rozmowę – nie tak znów ubodzy jesteśmy, byśmy się aż trapić mieli, toć mistrza Wita piękne dzieła nie mają sobie równych. Co się zaś tyczy nowej sztuki, radzi ją w naszym kraju zaszczepimy. Oto właśnie mistrz Bartolomeo wykończył abrysy do budowy nowego pałacu, jaki wasza królewska mość mieć żadasz. Oglądałem to już i właśnie zdania waszej miłości przyszliśmy zasięgnąć, czy kruzganki kolumnowe, okalające podworec, należy dać ino na pierwszym i drugim piętze, czy takóž i na dole?

Mistrz Berecci rozwinął przed królową plany i tłumaczył, co te lub owe linie oznaczały, a król, zadowolony z delikatnej nauczki, jaką dał żonie za jej niesprawiedliwe mowy, uśmiechał się nieznacznie i w roztargnieniu głaskał po główce małą księżniczkę Jadwigę.

---

<sup>63</sup> *duszny* – tu: duchowy. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *szkoła krakowska wydaje męża mądrością sławne* – szkoła krakowska wydaje ludzi sławnych ze swojej mądrości. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *zaliż* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

Król Zygmunt, mężczyzna wówczas pięćdziesięciokilkuletni, robił wrażenie człowieka jeszcze młodego, w całej pełni sił męskich. Wyniosłej budowy ciała, szeroki w ramionach, dobrej, lecz proporcjonalnej tuszy, postacią swą uosabiał potęgę i silną wolę. Głowę miał bardzo foremną, profil rzymski, oczy przenikliwe i mądre, ocienione gęstymi brwiami, usta dumnie zarysowane z wysuniętą naprzód dolną wargą, wspólne Jagiellonom dziedzictwo po Elżbiecie austriackiej. Ciemne włosy nosił ówczesną modą długie, lecz dla wygody lub w gorące dni letnie podczesywał je nieco w górę i pokrywał nagłownikiem siatkowym, z cienkich jedwabnych sznurków złocistych plecionym. Toteż dziejopis jego robi wzmiankę, że „w czepcu rad chadzał”<sup>66</sup>.

Nosił się zazwyczaj ciemno i dziś więc odziany był w szubę<sup>67</sup> z cienkiego, cynamonowej barwy sukna, bramowaną<sup>68</sup> sobolami<sup>69</sup>. Nogawice obcisłe, ciemne, ciżmy naturalnego koloru skóry. Tak przedstawiał się król Zygmunt na zewnątrz.

Dusza królewska równie wspaniale i imponujące miała cechy, jak ciało. Z natury małomówny bardzo, roztropny i sprawiedliwy, nad czynem każdym, jak i nad słowem rozważał długo; za to raz powziąwszy jakiś zamiar lub wypowiedziawszy stanowcze zdanie, trzymał się go uparcie i nigdy nie zmieniał. Gdy co przyrzekł, dotrzymał świątę i za największą chlubę uznawał, jeżeli sprawdził, że na czymś słowie polegać było można.

Jedyne, co go kiedykolwiek zastraszało, to myśl, czy ten lub ów postępek zgodny jest z prawem i z chrześcijańską uczciwością. Nawet w rzeczach małej wagi pytanie: uchodzi? nie uchodzi? – było mu zawsze probierzem<sup>70</sup>. Szczęście osobiste, pomyślność kraju niczym mu były, gdyby je przyszło okupić czynem nieprawym. Przysłowiowe wyrażenie „dedecet” (nie uchodzi) często bardzo miał na ustach. Gorliwy chrześcijanin, brzydził się nowatorstwami religijnymi i wzgardę miał dla odstępców od Kościoła rzymskokatolickiego.

Gdy tak stali przy sobie oboje z Boną, tworzyli parę małżonków skończenie piękną i fizycznie jak najdoskonalej dobraną. Rozum i wykształcenie Bony również znakomitymi nazwać można było; jedynie dusza jej i charakter odbiegły od ideału, którego żywym wcieleniem był Zygmunt.

Budowniczy, odebrawszy pewne wskazówki i zanotowawszy sobie życzenia królowej, oddalił się; król pozostał z całym towarzystwem.

– Wybrałyście się, wasze miłości, jak widzę, z robótkami<sup>71</sup> do ogrodu na pogawędkę. Gdzież dziatki? Czy w sadzie?

– Bellina kaszle, a Zygmunta lękam się wypuszczać z komnaty, powietrze za ostre.

– Pieścisz je wasza miłość nad miarę; ciepło, sucho, powietrze zdrowe; ja bym radził nawet Zosieńkę wynosić na parę godzin na słońce, a starsi śmiało po całych dniach bawić się mogą z Jadwisią przy Szczepanowej.

– Obawiam się...

– Pomnijcie, królowo moja, że nie ino włoska, ale i pełna wigoru polsko-litewska krew płynie w żyłach naszego potomstwa. Nie wygrzewać przy piecu, nie chronić od lada powiewu; zdrowe córy chcę mieć i syna dzielnego, a nie panięta z morskiej piany!

– Jutro nie omieszkać spełnić wolej waszej miłości; dziś zda mi się już za późno.

– Zapewne. Aa... księgi na stole! Jejmość panna Beltrani przeczyta nam coś pięknego. Zasiądźmy i słuchajmy.

– Na czymżeśmy to stanęli? – spytała Bona.

<sup>66</sup> *dziejopis jego robi wzmiankę, że „w czepcu rad chadzał”* – J. L. Decius, *De Sigismundi regis temporibus*. [przypis autorski]

<sup>67</sup> *szuba* (daw.) – futro, długie zimowe okrycie podbite futrem. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *bramowany* (daw.) – obsyty lamówką; por. **obramowanie**. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *soból* – zwierzę futerkowe z rodziny łasicowatych. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *probierz* – miernik, punkt odniesienia, służący za podstawę oceny. [przypis edytorski]

<sup>71</sup> *robótka* – drobna praca ręczna, wykonywana przez kobiety wyższego stanu: szycie, haftowanie, szydełkowanie itp. [przypis edytorski]

– Czytałam wczoraj, jako Rugier zwyciężył Eryfilę dziewięsiłkę i szedł do pałacu Alcyny – odpowiedziała Laura.

– Ariosto? – spytał król.

– Tak jest, proszę waszej królewskiej mości, *Orland szalony*.

– A Jadwisia rozumie do tyła włoską mowę?

– Przysłuchuję się ciekawie i rozumiem bez mała, najmiłościwszy ojcze – odpowiedziała dziewczynka, całując króla w rękę.

– Zaczniście, proszę, słuchamy.

Laura szukała chwilę po strofach oczami i tak zaczęła:

Zbiwszy bohater z konia sprosną białogłową  
Dobyl miecza...

– To już było... – przerwała czytanie królowa.

Mrucząc półgłosem, lektorka przebiegła parę strof i czytała dalej:

Sama tylko Alcyna wszystkich zaś pięknością  
Przechodzi, jako słońce, gwiazdy swą jasnością.

Stan tak piękny i tak ma dobrze pomierzony,  
Jaki tylko zmaluje malarz nauczony;  
U długiej i na węzły powiązanej kosy<sup>72</sup>  
Lśniły się jako złoto jej żółtawe włosy.  
Róże się, wychowane w sabejskich ogrodach,  
Z fijołkami rozeszły po gładkich jagodach;  
Z gładzonych alabarstrów ma wyniosłe czoło,  
Którym po wszystkich stronach obraca wesoło.

Pode dwiema cienkimi, czarnemi łukami  
Są dwie oczy<sup>73</sup>, ale je lepiej zwać gwiazdami,  
Oczy, pełne litości, same w się ubrane,  
W których skrzydlata Miłość gniazdo ma usłane,  
I widać prawie dobrze, kiedy z nich wychodzi  
I łuk ciągnie, i w serce widomie ugodzi.  
Twarz dzieli nos tak piękny – wolę was nie bawić —  
Że sama Zazdrość nie wie, gdzie by go poprawić.  
Pod niem wdzięczne, w nie mniejszej zostawując chwale,  
Są usta, w przyrodzone ubrane korale.  
W nie dwa rzędy wybranych pereł...<sup>74</sup>

– *Morisco!... Dio mio... sono morta!*<sup>75</sup>... – przeraźliwy pisk Lukrecji Caldorri przerwał czytanie.

Najmłodsza z panien dworskich tak się czegoś przelekła, że nie bacząc na majestat i osoby królewskie, wskoczyła na ławkę i drżąc na całym ciele, krzyczała wniebogłoso. Wszyscy patrzyli na

---

<sup>72</sup> *kosa* (tu daw.) – warkocz. [przypis edytorski]

<sup>73</sup> *dwie oczy* – dziś: dwoje oczu. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *Sama tylko Alcyna wszystkich zaś pięknością (...)* – przekład Piotra Kochanowskiego. [przypis autorski]

<sup>75</sup> *Morisco!... Dio mio... sono morta* (wł.) – umieram, o mój Boże, nie żyję. [przypis edytorski]

nią ze zdumieniem; biedactwo było tak nieprzytomne, że nawet Bona nie poczuła się obrażoną jej niesfornym zachowaniem.

– Czego krzyczysz?

– Co ci się stało? Czy cię żmija ugryzła? – pytały towarzyszki przestraszone.

– Tam... tam... potwór... ach! sunie ku nam... *Santa Margueritta! San Giorgio! Diffendete mi!*<sup>76</sup> – wzywała świętych skutecznych przeciw smokom.

Inne panny, spojrzawszy w kierunku jej oczu osłupiale zapatrzonych, zerwały się jak oparzone i chórem zawiodły wrzask nie ludzki.

A na samym końcu ścieżki, tuż za wirydarzykiem królowny Jadwigi, poruszało się ciężko jakieś istotnie niesamowite stworzenie...

Mała księżniczka przytuliła się do ojca, który ją objął ramieniem i patrzył ze śmiechem na dziwaczne miny i konwulsyjne podskoki panien dworskich.

– Idźże waść, zobacz, co tam takiego! – krzyknął na Stańczyka.

Ale ten padł na trawnik i tarzał się ze śmiechu, wierzgając nogami jak żróbek, rozhukany w szale wesołości.

– Co za uszy kłapciaste! – wołała jedna.

– Czerwone jak płomień! – wrzeszczała druga.

– Pysk biały, ślepie w krwawych orbitach!

– Cielsko obmierzłe!

– Pręgi jak u tygrysa!

– Co za sierść niewidzianej maści!

– Zielona niczym trawa, a smugi po niej ceglaste!

– Ogon ptasi!

– Na nogach guzy jakieś czy narośle!

Potwór, co z początku włókł się ociężale i wahająco, nagle spuścił łeb ku ziemi, a uszy olbrzymie opadając łeb mu cały zasłoniły i biegł... pędził... leciał... aż... skoczył w objęcia na wpół omdlałej signory Izabeli Papacody. Nie ma na świecie pióra, które by zdolne było odtworzyć martwymi literami skrzywienie ochryple, jakie wydała z siebie nieszczęsna dziewczica.

Znalazłszy się w bezpiecznej przystani straszdyło wspięło się na tylne łapy, przednie oparło na szyi donny Izabeli i jęło ją lizać po twarzy różowym języczkiem.

– Kupido!... *Poverino mio*<sup>77</sup>! *Carissima bellezza mia*<sup>78</sup>! – oblewając pieska strumieniami łez gorących, wołała dama.

A łzy te serdeczne zmywały po części farbę z sierści Kupidynka, przenosząc ją na stanik, spódnice, rękawy, a nawet, o zgrozo, na wygorsowaną szyję i wąsate oblicze signory.

– Jedno urodne i drugie niczego – dziwował się Stańczyk, potrząsając dzwoneczkami.

A król Zygmunt rozbawiony, jak może od młodości mu się nie przytrafiło, śmiał się, śmiał, śmiał do rozpuku.

– *Guardate che disgrazia*<sup>79</sup>! Pomalowali cudni Kupidu! Uszy doprawili... do śliczny ogonek pióry kogutu... *la mia povera bestiolina*<sup>80</sup>! Lapeczki mała owiązali *con conce*... *Briganti*<sup>81</sup>! *Lazzaroni! Maladetti*<sup>82</sup>!

– Nie domyślasz się, wasza miłość, kto może być sprawcą tak niecnego figła? – spytała królowa ochmistrzynię.

---

<sup>76</sup> *Santa Margueritta! San Giorgio! Diffendete mi!* (wł.) – święta Małgorzata, święty Jerzy, ratujcie mnie. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> *poverino mio* (wł.) – mój biedaku. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *carissima bellezza mia* (wł.) – moje najdroższe śliczności. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *guardate che disgrazia* (wł.) – spójrzcie, co za nieszczęście. [przypis edytorski]

<sup>80</sup> *la mia povera bestiolina* (wł.) – moje biedne zwierzątko. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *briganti* (z wł. *brigante*) – bandyci, łobuzy, zbójce. [przypis edytorski]

<sup>82</sup> *maladetti* (z wł. *maledetto*) – przekleci. [przypis edytorski]

Lecz nim signora Arcamone zdołała zebrać rozpierzchłe myśli, Papacoda krzyknęła łkając:

– Kto? Ja przysięgała na główka mój piesek, co to pазie uczynili... nie kogo innemu, ino pазie! A nawet powiedziała który: *questa canaglia di Cristophoro, il piccolo barbaro*<sup>83</sup> Czi... Cza... *mi rammento già*<sup>84</sup>! Czema! *Certissimo*<sup>85</sup>!

– Zaraz się to wysledzi i bądź wasza miłość przekonaną, że z całą surowością wymierzmy karę – uspokajała rozszlochaną Włoszkę królowa – mocno mię ino dziwi, że wam, najmiłościwszy panie, ucieszną i śmiechu godną widzi się psota, która dokuczyła aż do rzewnych łez osobie tak zacnej i tak bardzo mi bliskiej, jak signora Papacoda. Gdyby coś podobnego Polkę spotkało, znalazłaby się sprawiedliwość.

Król spojrział surowo na żonę, lecz nie odpowiadając wprost na niesłuszny zarzut, dał znak ręką jednemu z paziów:

– Hej, Zbylitowski! Biegaj co żywo do pana ochmistrza Strasza, powiedz, że go prosimy tutaj w bardzo ważnej sprawie. Z nikim po drodze nie mówić słowa! Rozumiesz?

– Słucham, najmiłościwszy panie!

Pobiegł paź, sprowadził ochmistrza i wytoczono przed jego trybunał całe zajście z Kupidyńkiem. Jegomość pan Strasz, zarówno jak i Papacoda, sumiennie był przeświadczony, że to zemsta Krystka Czemy za pokąsaną łydkę; lecz na żądanie króla, który nie poszlak i podejrzeń, ale niezbitej pewności się domagał, postanowiono zwołać wszystkich dwustu paziów do ogrodu i badać jednego po drugim. Który by nie umiał się wytłumaczyć, co robił od godziny obiadowej do tej pory, będzie prawdopodobnie winowajcą. Przy obiedzie bowiem najmilejszy Kupidło kręcił się jeszcze po pokojach fraucymeru, we własnej swej, nie zmienionej postaci.

Paziowie, zajęci cały dzień na służbie u króla jegomości i u najmiłościwszej pani, nie wchodzili oczywiście w rachubę, gdyż ani na krótki czas nie opuszczali pokoi królewskich. Tak więc nazwiska tych dwudziestu czterech szczęśliwców wypisano na karcie papieru, a resztę zwołano. Pokazało się, że wszyscy mieli lekcję łaciny zaraz po obiedzie aż do godziny czwartej, czyli podług ówczesnych zegarów do godziny szesnastej; następnie grali w palcaty na wielkim podwórku i prosto stamtąd zawołani przybiegli do ogrodu. Pan bakałarz<sup>86</sup>, mistrz Ambroży z Olkusza, zaręczał, że na początku lekcji czytał ich nazwiska i nie brakowało żadnego; to jest właściwie trzech tylko nie stawiło się.

– Aha... hhhrrrum – odchrząknął ochmistrz – którzyż to?

– Dymitr Montwiłł, Andrzej Boner i Krzysztof Czema.

– Nie mówiła? Nie mówiła? – krzyczała Papacoda, wznosząc w górę pięści i dysząc zemstą.

Pan Strasz i pan bakałarz pośpieszyli na górę zrewidować mieszkanie obwinionych i osadzić ich w karceresie. Lecz niestety, ani resztek farby, ani zrzyneków czerwonej materii, ani piórka jednego... nic nie znaleźli. Na oknie ino leżał ogryzek kiełbasy, atoli nikomu na myśl nie przyszło, by ten drobny szczegół miał jakikolwiek związek ze sprawą biednego Kupidyńka. W izbie nie było nikogo prócz Dymitra Montwiłła śpiącego twardo. Szarpali nim i trzęśli – ledwie się ocknął; a każde jego słowo i całe zachowanie się wobec sędziów świadczyły wymownie, że jak do łaciny, tak i do sztuki malarskiej nie posiada najmniejszej zdolności. Wzięty w krzyżowy ogień zdradliwych pytań ochmistrza i bakałarza, odpowiadał spokojnie, patrzył im prosto w oczy, a ziewał przy tym tak serdecznie, że chcąc nie chcąc, musieli mu wtórować.

Gdy prześladowcy odeszli, zadumał się Dmytruś głęboko; chodził sumując wzdłuż komnaty i parę razy wyrwało mu się z ust pytanie:

– Taj czego oni chcieli ode mnie? Coże mnie wykrecali na wszystkie boki? Ot, tobi masz z taką robotą!

---

<sup>83</sup> *questa canaglia di Cristophoro, il piccolo barbaro* (wł.) – ten łobuz Krzysztof, ten mały barbarzyńca. [przypis edytorski]

<sup>84</sup> *mi rammento già* (wł.) – już sobie przypominam. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *certissimo* (wł.) – na pewno. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *bakałarz* (daw.) – nauczyciel. [przypis edytorski]

Nagle stanął, uderzył się ręką w czoło...

– Mamoż ty moja mileńka! Głupi ja, że nie zgadł od razu! Chłopcy nabroili znowuż i stary Odmiwas obławę robi. Ani wąpić, Jędrek... jakbym go widział... a może i który jeszcze... tak, coże oni myśleli? Że ja im wydam kolegów, jak Judasz? Żeby mi się byli przyznali, tak może bym i obronił, ale co gadać, kiedy nic nie wiem. Wpadliście, sierotki, w kałabanie<sup>87</sup>... nic to, nie bójcie się, już ja was wytaszczę, choćby się sam miał stałapać.

Zostawiam wyobraźni czytelników odtworzenie onej pracowitej godziny, w której dwie pary pilnych rąk przeistoczyły zgrabnego Kupidyńka w potwór apokaliptyczny, a uprzędając astmatycznego Strasza i pulchnego, na krótkich nóżkach bakałarza, biegnę śladem złoczyńców. Nieśli oni cichaczem jak najustronniejszymi schodkami i korytarzami kosz z pokrywą do ogrodu. Tam również zapadli w boczne ścieżki gęsto zarosłe; dopiero przy Baszcie Sandomierskiej, tuż obok wirydarza królowy, skrywszy się za szkarpę, wypuścili swoją ofiarę.

– Teraz nie ma co dłużej popasać, drała nad rzekę! – zakomenderował Boner.

– Jak to... bez mur? Wždy nas kto pewnikiem spostrzeże.

– Głupiś... czy ci kazuję bez mur? Stoi przy furtce i pyta się.

– Nie zamknięta?

– Po zachodzie słońca dopiero straż zamyka wszystkie wyjścia na kłody; teraz ino zasunięte na skubel.

– A z koszem co?

– Weźmiemy go do rzeki, wypłukać trzeba dobrze, bo się ano cudnie usmarował i mógłby nas niechybnie zdradzić.

Wymknęli się tedy przez furtkę i zbiegli pędem po pochyłości góry nad Wisłę. Tam Jędrus, który miał w całym mieście przeróżne stosunki, skoczył do znajomego rybaka.

– Pożyczcie mi dwóch wędek, Szymonie. A śpieszcie się na miły Bóg!

– Toli są, paniczku; ledwem co z Frankiem od wody powrócił.

– Rety... ryby może macie?

– Juści mam, pełen koszyk.

– Co za nie?

– Ile ta paniczek dadzą, tyle wezmę.

– Dwa złote chcecie?

– Dorzucicie ta parę groszy, bo ładnie mi się ułowiły.

– Na, macie; dawajcie chyżo<sup>88</sup>. A niech was Bóg broni jedno słówko pisnąć komukolwiek, żeście je nam sprzedali! Złamanego szeląga nie dałbym wam już nigdy zarobić!

– Co bym miał gadać, pojem se ano i spać legnę, bo od rana w gębie nic nie miałem.

– Pamiętajcież!

Zbiegli chłopcy trzydzieści kroków nad sam brzeg rzeki, wypłukali kosz skrzętnie, przesypali doń ryby, kobiałkę Szymona wrzucili do jego łodzi, a sami zasiedli do pracy i zapuścili wędkę.

– Panie ochmistrzu... tędy, tędy, prosto nad rzekę – szeptał bakałarz – przecucie mi mówi, że ich tu gdzieś znajdziemy. Pewnikiem polecili wykąpać się, bo to i ręce, i twarze muszą mieć uwalane jak nieboskie stworzenia.

– Pst... widzisz ich waszmość?

– Toli siedzą z wędkami, jak niewiniątka...

– Ha! Tuście mi, niewstydniki! Ciężki sąd i kara was nie minie!

– Ach, najdroższy panie bakałarzu! Wždy nigdy nie jesteście srogim dla nas!

– Miłościwy panie ochmistrzu! My się jutro wszystkiego wyuczmy *expedite*<sup>89</sup>...

---

<sup>87</sup> *kałabania* (z ukr. a. białorus.) – kałuża; tu: tarapaty, kłopoty. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *chyżo* (daw.) – szybko. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *expedite* (łac.) – biegle, dokładnie. [przypis edytorski]

- Tak nas coś kusiło dzisiaj na rybki...
- No, no, bardzo proszę, przez krotofil<sup>90</sup>... nie pomnażajcie swojej winy!
- Niechże nas Bóg broni przed takowym pomnażaniem! Wždy błagamy o przebaczenie po stokroć, żeśmy lekcję łaciny opuścili, ale na cześć naszą przyrzekamy powetować to jutro w dwójnasób.
- Milczeć! Hhrrrum... o pieska donny Papacody chodzi, niecnoty jedne!
- A to łotr bezecny... – oburzył się Krystek – kogóż znowu pokąsał?
- Dość już wykretów... nie na gadanie do was przyszedłem; marsz na górę! Król jegomość wie o wszystkim i będzie was sądził.
- Co? Za parę werbów<sup>91</sup>?
- Za jedną lekcję? Sam król?
- Milczeć! Marsz na górę, powiadam.
- Ale idziemy, idziemy, ino kosz z rybami trza zabrać.
- Z jakimi rybami?
- A o... tyle ślicznych karpi, karasi, nawet dwie szczuki...
- Od samego obiadu człek siedzi, pełen kosz nałowiliśmy.
- Wždy ich nie wrzucimy na powrót do wody – burknął zuchwale Boner.
- Wasza miłość pozwoli odnieść to do marszałkowskiej kuchni.
- Chcieliśmy się Serczykowej podchlebić; pięknieśmy wyszli!
- Za taką błahostkę do samego króla!
- Gdyby wasza miłość nie był tak zagniewanym, przysiągłbym, że sobie ino dworuje<sup>92</sup>.
- Niechże pan ochmistrz ulituje się ten ostatni raz, każe nam wlepić po dziesięć batów na kobiercu, pocałujemy go w rękę i sza!
- Jak Boga kocham, nijakiej uciechy biedny paż zażyć nie może!
- Malcy paplali bez wytchnienia, jak najęci, a biedny Strasz i mistrz Ambroży stali zmieszani, zupełnie zbici z tropu i poglądali na siebie, ruszając ramionami.
- Alibi... – westchnął ochmistrz.
- Alibi... – westchnął bakałarz.
- Słyszałeś, co mówili? – w samo ucho syknął Jędrus Krystkowi.
- No, to jakże... czegoż czekamy? Idziemy na tę górę czy nie? – domagał się Czema z odwagą męczennika wiedzonego na tortury.
- Idźcie precz na złamanie karku! Niech was moje oczy nie widzą!
- Bóg zapłać waszej miłości; trzymajże i ty kosz, bo ciężki.
- Chodźmy – rzekł Strasz – trzeba królowi jegomości zdać sprawę.
- Właściwie rzekłszy, to chyba nie między paziami szukać trzeba winowajcy – zauważył Ambroży.
- I mnie się tak zdaje. Chwała Bogu.

W zamkowym ogrodzie tymczasem niewesoło się bawiono: królowa, rozdrażniona do najwyższego stopnia, mówiła niby do swych towarzyszek, lecz co drugie zdanie wtrącała jakiś przytyk do męża, tonem szorstkim, zjadliwym. Robiła to jednak o tyle zręcznie, że można było nie rozumieć tych przykrych słówek i król Zygmunt, nie chcąc doprowadzać do poważniejszego nieporozumienia, starał się nie słuchać i nie słyszeć tej niebezpiecznej rozmowy.

---

<sup>90</sup> krotofila a. krotochfila – żart, dowcip; farsa. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> za parę werbów (z łac. *verbum*: czasownik, słowo) – z powodu kilku czasowników, tj. z powodu opuszczonej lekcji łaciny. [przypis edytorski]

<sup>92</sup> dworować – kpić, żartować z kogoś. [przypis edytorski]

Signora Papacoda pobiegła z ukochanym zwierzątkiem do swej komnaty, by za pomocą wody, mydła i ścierek przywrócić Kupidynkowi jego pierwotną urodę. Pocziwy Stańczyk coraz to nowymi konceptami silił się zabawić króla, ale w powietrzu ciągle jeszcze wisiała burza.

I paziów rola łatwą nie była: jeśli nie oni osobiście, to kilku z ich grona obraziło ulubioną damę dworu, a obrazę odczuła gniewnie królowa. Stali więc wyprostowani w szeregu, nie śmiejąc po cichu nawet rozmawiać z sobą.

Wtem wielkie zdziwienie odmalowało się na ich twarzach, najpierwsi spostrzegli coś niebywałego i niespodziewanego: oto na ścieżce, wiodącej od strony podwórza, ukazał się Dymitr Montwiłł... nie wołany, nie będący w służbie, w szarym codziennym ubraniu. Kołpaczek<sup>93</sup> barankowy miał w rękach i szedł z jakimś wahaniem, to przyspieszając kroku, to stając, to wlokąc się noga za nogą... W końcu przemogła silna wola nad obawą; biegnąc prawie, doszedł do króla i upadł przed nim na kolana.

– Raczcie, najmiłościwszy panie – zaczął, jękając się – raczcie rozkazać, bym został ukarany, bo... to... ja zawiniłem.

– Ty? Wszak ochmistrz...

– Jam to uczynił; przyznaję się waszej królewskiej mości.

– Dwadzieścia pięć korbaczów<sup>94</sup>! – krzyknęła, nie hamując swej złości, Bona.

– Dlaczegożes to zrobił? Powiedz szczerze.

Montwiłł milczał.

A Stańczyk, wsparty na poręczy ławy królewskiej, rzucał badawcze i przenikliwe spojrzenie w twarz klęczącego chłopaka.

– Wiedziałeś, że to koń miłościwej pani, gdyś mu obcinał ogon? – spytał.

– Jak możecie posądzać mnie nawet o podobne bezeceństwo! – krzyknął paż z oburzeniem.

– Obciąłem ogon, to prawda, ale mniemałem, że to wierzchowiec panny de Opulo; te siwki takie do siebie podobne.

– Wstań i pójdz bliżej – rzekł król łagodnie.

Położył rękę na ramieniu Dymitra i spytał:

– Dlaczego kłamiesz?

– Ja... praw...

– Kłamiesz. Przyznajesz się do winy, a wcale nie wiesz, o co chodzi. Konie wszystkie zdrowe, żadnemu ogona nie brakuje. Przecz<sup>95</sup> skłamałeś?

Chłopak milczał.

– A to Litwin uparty! – szepnął król do Stańczyka. – Jeżeli powiesz prawdę, choćbyś i winien był, nie spotka cię kara. Nie chcesz, to cię każę natychmiast odesłać rodzicowi.

– O panie najmiłościwszy... najlepszy... tak już powiem. Jego miłość pan ochmistrz, jego miłość pan bakałarz przyszedli do naszej izby, a zbudziwszy mnie nagle ze snu, rozpytywali, a trapiłi, a wyciągnąc ze mnie duszę chcieli, aż mnie z tego wszystkiego w głowie zakreśliło się. Dopiero, kiedy się zabrali z komnaty, jasność mnie ogarnęła... chyba gdzie niektórzy z paziów co przeskrobawszy. Także ja rzekę do siebie: „I nic nie zrobisz dla dobrych kolegów, Montwiłł? Choćbyś i bicie dostał, nu to i co? Lepiej tobie wytrzymać, coś twardy i zęby ściśniesz, niż Boże broń na słabszego by padło”. Tak ja i przyszedł przyznać się najmiłościszemu panu jedno bieda, że nie wiedział do czego.

I znowu runął do nóg królowi.

Zygmunt spojrział przeciągle na żonę i rzekł:

– Zbyt pochopne sądy najczęściej okazują się mylnymi.

A gładząc dobrotliwie płową czuprynę Dmytrusia dodał:

---

<sup>93</sup> kołpak – tu: wysoka czapka bez daszka. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> korbacz (daw.) – bat, bicz; uderzenie biczem. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> przecz (daw.) – dlaczego. [przypis edytorski]

– Zaiste warto paziem zostać, by zyskać takiego przyjaciela!

## Rozdział II. Figiel Jana Drohojowskiego

Nazajutrz rano w izbie paziów żywa toczy się rozmowa przy ubieraniu.

– Wiesz, Jędrus – zagadnął Kostuś Gedroyć Bonera – że o włos, o pajęczynę, a byłoby się wszystko wydało.

– Juści, jakim sposobem?

– Sprawiliśmy się tajemnie: zrzynki, strzępki, szmatki pozmiałałem własną ręką i do cna spaliłem na kominie; popiół nawet rozgarnąłem aż do samej głębi.

– A miednicę z wodą, cośmy sobie ręce z farby myli – dodał Czema – wyniosłem na strych i het porozlewałem po polepie<sup>96</sup>.

– Co nas miało zdradzić? Ciekaw jestem – puszył się Boner.

– Zaraz ci powiem: pani Szczepanowa.

– Ona? Aniśmy jej nosa nie widzieli.

– Za to ona widziała wasze oba i koszyk, i Kupidynka. Zahaczyliście o wirydarzu królewny; babina tam siedziała cichuśko, no i miała sobie najpiersze miejsce w onym teatrum, jakieście Papacodzie sprawili.

– Rety... – wyrzucał nas ze służby! – wrzasnął Krystek.

– Z jednej ręki strapienie i z tejże otrzymacie pociechę! – zadeklamował Gedroyć. – Gdyśmy z ogrodu wracali po niefortunnym śledztwie, królowa jejmość kwaśna i nachmurzona, panny złe, jak jędzonki, a król i my wszyscy rozmiłowani w Montwille na umór...

– Masz gadać co mądrego, to gadaj, a pleść nie wiedzieć jakie głupstwa, to lepiej...

– Wždyś chyba nie zapomniał, jako cię miłościwy pan pięknie pochwalił? A żeśmy cię dopiero wczoraj naprawdę poznali, że nasze serca k'tobie<sup>97</sup> się kłonią, to i mówić nie trzeba... każdy to czuje.

– Et... nie marudziłbyś. Cożeś zaczął o Szczepanowej?

– Ano, wyszła naprzeciw nas po królownę Jadwigę, a skorom ją mijał (szedłem w ostatniej parze), szepnęła mi na ucho: „Kłaniaj się waść ode mnie panom malarzom i doradz, coby na drugi raz pilniej się strzegli, bo gdyby tak kto inszy, a nie stara Szczepanowa, toby było krucho”. „Dla Boga, nie wydajcie ich!” szepnąłem. Zaśmiała się, machnęła ręką: „Śpijcie spokojnie”. I rozeszliśmy się.

– Prawdziwa łaska boska, że to ona była, a nie na ten przykład wielebna dzwonnica Serczykowa.

– Ale co tam rozmyślać o przeszłorocznym śniegu! Dobrze było, udało się, nie wydało się, po całym ogrodzie huczek poszedł, miłościwy pan przykazał szukać pilnie onego mistrza od piesków malowania, więc też pilnie szukają... wiatra<sup>98</sup> w polu. A waszmość panowie, sercem umiłowani, radujcie się, iż Andrzeja Bonera macie pośród siebie, jako chwałę i piękną ozdobę stanu paziowskiego.

– Zarozumialec jakiś! – zachnął się Czema. – Wždy pieska ja sam, przez twojej rady umyśliłem.

– A byłbyś co wskórał, matusina kukielko, gdyby nie ja? Po dziesięćkroć dałbyś się złapać nauczynku.

– Słuchaj no, Jędrak – przerwał mu Ostroróg – nie masz się z czego bucić<sup>99</sup>, bo do figlów i psot wszyscyśmy skorzy, ilu nas tu jest, i gdy ino zechcemy dokazować, to starego Odmiwasa w żółtaczkę wpędzimy.

– Oho, w gębieście mocni, robotym nie widział!

– To zobaczysz. Słuchajcie wszyscy, zali wam się zda, co powiem.

– Pst!

---

<sup>96</sup> *polepa* – warstwa gliny lub gliny z sieczką kładziona jako uszczelnienie. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *k'tobie* a. *ku tobie* (daw.) – do ciebie. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *wiatra* – dziś popr. forma: wiatru. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> *bucić się* (daw.) – pysnić się, przechwalać się. [przypis edytorski]

– Czego chcesz?  
– Coś się szmera za drzwiami...  
– Podejdźmy wszyscy na palcach... dość już tego podsłuchiwania, trza ptaszka złapać.  
– Ty, Szydłowiecki, stań przy oknie i gadaj głośno, niby że to rozmawiamy ze sobą, co by się w izbie cicho nie zrobiło, bo gotowo uciec.

Gedroyć na przedzie, tamci za nim, podsunęli się ostrożnie do drzwi, otwarli je znieacka... Signora Marina Arcamone w czepcu nocnym na głowie i luźnej kwiciastej sukni stała w korytarzu o pół kroku ode drzwi i tak złapana niespodzianie, że nawet odskoczyć nie miała czasu.

Ostroróg, Montwiłł, Czema, Drohojowski i Boner parsknęli śmiechem szyderczym, a Gedroyć pokłonił się w pas jak przed królową.

– Cóż za niewysłowna i niczym nie zasłużona łaska, że czcigodna pani ochmistrzyni raczy nawiedzić marnych paziów o tak rannej dobie?

– Prosimy, prosimy! – wrzasnął chór jednogłośnie.

– *Schiocchi senza vergogna! Somari!*<sup>100</sup> – drżąc z wściekłości, zapiszczała dama i pobiegła do swej komnaty.

– A tośmy babę przyhaczyli! Cha, cha, cha...

– Nieprędko się chyba drugi raz odważy.

– Dobrze jej tak, niech nie myszkuje.

– A co tam wygadywała na nas? Nie słyszałeś, Pawełku?

– Przeważa nas niewstydnymi głupcami i osłami – przetłumaczył Szydłowiecki.

Gedroyć uderzył silnie pięścią w stół.

– Poczekaj, stara sowo! Jużem ci wczoraj nakarbował w pamięci za królową Jadwigę, dziś znowu... osły! Doznasz ty mojej wdzięczności, aż ci one osły bokiem wyleżą!

– A teraz zasiądźcie spokojnie i posłuchajcie – zaczął znowu Ostroróg.

– Słuchamy pilnie.

– Jęduś Boner się szczyci, że ino on jeden ma głowę do trefnych figli; ja zasię twierdzę, że nie ma w tym nijakiej sztuki, a przy dobrej woli każdy z nas mu dorówna abo i prześcignie.

– Powtarzam swoje: w gęboście mocni!

– Tedy ustanówmy związek albo*li*<sup>101</sup> bractwo i niech każdy własnym pomysłem, własnymi siłami popisz się, jako zdoła najlepiej.

– Figlikowe turnieje! – zawołał Gedroyć.

– A po włosku jak?

– Nie wiem: *concorso*<sup>102</sup> chyba.

– Jak się zwie, tak się zwie, ja przystępuję do bractwa! – zawołał Jaś Drohojowski.

– Nu, to i ja – zawtórował dziwnie ożywiony od wczoraj Montwiłł.

– Ja także!

– I ja! – wołali wszyscy.

– Ale poczekajcie, to jeszcze nie koniec; zrobimy siedem gałek z chleba, sześć jednakich, a siódmą usmarujemy sadzą, coby była czarna. Będziemy je wszyscy ciągnąć, a który dostanie czarną, nie należy do współzawodów, ino będzie naszym sędzią.

– Ojoj!

– Czyją on sprawkę uzna za najtrefniejszą, ten zostanie naszym hetmanem na cały rok.

– E... ja tak nie chcę...

– Wielka mi łaska być sędzią...

– Ale zaszczyt nie lada!

---

<sup>100</sup> *Schiocchi senza vergogna! Somari!* (wł.) – głupcy bez wstydu, osły. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *alboli* (daw.) – lub też. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *concorso* (wł.) – konkurs, konkurencja. [przypis edytorski]

- A to ci go darujemy!
- A gdyby tak sędziego do pomocy w robocie wołać?
- O, nie wolno! Sprawiedliwy sędzia nie może się w takie rzeczy wdawać.
- Rety... cobym to ino ja nie był!
- Róbcie gałki, śpieszcie się!
- Już są.
- Czarna także?
- Juści, o... niczym diabeł.
- Ale, ale, jedną odrzucić, bo Krystek już wczoraj swoje spełnił.
- No, wsyp je do kołpaka, przykryj połą, a wy nie patrząc ciągnijcie.
- Biała!
- Biała!
- Biała!
- Biała!
- O nieszczęsna godzino! – jęknął Szydłowiecki.
- Taj dosyć, bo mnie na ostatku takóž biała znalazła się.
- Więc, Czema, *ad acta*<sup>103</sup>.
- Szkoda!
- Kto co ma do powiedzenia? – rozpoczął z powagą swe urządowanie Szydłowiecki.
- Ja – rzekł Drohojowski. – Upraszam pokornie waszą wielmożność, miłościwy sędzio, coby mi przyznane było prawo zakończenia sprawy z Niemcem. Gdy za moim to jednym słowem stało się, iż ów medyk znamienity legł powalon ciężką chorością, tedy niech go już do końca operuję, za czym zdrowego i wesoluchnego waszym miłościom okazać nie omieszkam.
- Przyzwalamy! Pierwszy tedy numerus: Krzysztof Czema, drugi: Jan Drohojowski. Kto się zgłasza dalej?
- Ja proszę o trzecie miejsce.
- Konstanty Gedroyć. Już wpisane.
- Zapisz wasza wielmożność: Mikołaj Ostroróg – czwarty.
- Tażęz mnie nie pchajcie na sam koniec! Cierpliwemu zawždy krzywda! Niechajże będę choć piąty... – narzekał Montwiłł.
- A ja tam nie żalę się – skromnie oczki spuszcżając, cichym głosem odezwał się Boner. – Przyjmuję najpośledniejsze miejsce. Od dzisiejszego dnia zacznę się ćwiczyc w pokorze.
- O, ty Judaszu!
- Pan sędzia nie wierzy?
- Mikołka, chodź ze mną do Krabatiusa; wczoraj mu już wszelakie niemoce dolegały, godzi się odwiedzić biedaka.
- A my?
- Was się później przywoła albo sami z własnej woli zgłóście się do pielęgowania. No chodźże! Przebiegli na drugą stronę korytarza, zapukali do drzwi. Słabym głosem odpowiedziano „proszę”.
- Przychodzimy zapytać, jak zdrowie waszej miłości – zaczął Drohojowski.
- Zawsze gorzej... zawsze gorzej; już mnie ostatnia nadzieja opuszcza – jęknął Niemiec.
- Niech pan magister daruje moją śmiałość, ale czy nie pomnażacie swej słabości imaginacją?
- Żadną drogą. Przytomność mam, Bogu dzięki, stale pełną i z każdego uderzenia pulsu zdaję sobie sprawę... bije coraz słabiej.
- Przyczyną tego, łacno zrozumieć, jest krwi puszczenie. Jako medyk, wiecie lepiej od nas, że takowy środek siły odbiera.

---

<sup>103</sup> *ad acta* (łac.) – do działania. [przypis edytorski]

– Ale zarazem i chorość wigor swój traci. Najjaśniejsza pani raczyła w jej wielkiej łaskawości przysłać mi własnego doktora.

– Signora Bisantizzi?

– Tak jest; a bawiący tu w przejeździe signore Giulio di Santa Croce nawiedził mnie również z własną przychylnością. Uczoność tych mężów zdumieniem mnie napełnia. Wyjrzyjcie ino, chłopcy, w antykamera<sup>104</sup> i zobaczycie, jak wiele mi leki signore Bisantizzi przysposobił; zda się niepodobieństwem, by najsroźsza febris tyłu specyfikom oprzeć się miała.

Zaciekawieni paziowie skoczyli do alkierzyka (pracowni Krabatiusa) i teraz dopiero Jaś Drohojowski zdrętwiał na myśl o możliwych skutkach swego płochego żartu: na okrągłym drewnianym stole w pośrodku izby stała cała bateria flaszek, puzderek, stoiczeków itd.; było tego około trzydziestu sztuk.

Rzucili okiem dokoła... półki z księgami i rękopisami piętrzyły się przy dwóch ścianach; długi, wąski stół pod samym oknem zarzucony był instrumentami lekarskimi, retortami do badań chemicznych; na ścianie nad stołem wisały dwie wagi, jedna na pospolitszy użytek, druga maluchna aptekarska. Moździerz czarny, marmurowy, do ucierania proszków, drewniana forma do kręcenia pigulek, zioła suszone w ogromnych pękach, słowem, laboratorium alchemiczne i lekarskie.

Ale te mikstury czerwone, białe, zielone, brunatne! Te jakieś driakwie czy balsamy... Zaliż to wszystko miał spożyć nieszczęsny chory z urojenia?

Jasiek jednym susem wrócił do sypialni i stanął przy łożu Krabatiusa.

– O kochany panie magister... miejcie litość nad sobą! Nie tykajcie tych podłych leków! Ino leżcie spokojnie, krwi już więcej nie puszczajcie, my wam z kuchni samego króla miłościwego dostarczymy rosołu i kurczątka w polewce lub wędliny świeżej. Wypoczynek, zdrowe jądło, to najlepsze leki. Chciejcie mi wierzyć!

– Ty jesteś dobre dziecko – odparł chory wzruszonym głosem – ale się tyle znasz na medycyna, co ja na teologia. Chorość moja tkwi w żołądku, podkrada się ku płuc; chce zająć moje nerki i moja wątroba, zanieczyszcza żyły. To wszystko jasno i uczenie wyłożył mi doktor Bisantizzi; ano i ja sam, o ile mnie wybadać mogę, te symptoma rozumiem nie inaczej.

Odpczawszy chwilę, chory mówił dalej żałośnie:

– Przeto najpierw organismus należy skrupulatnie wyczyścić, co, dzięki uczynności tego zacnego męża, nad wyraz dokładnie uskuteczniłem. Następnie mamy się wziąć do każdej wnętrzości z osobna; Bóg miłosierny ulitował się nade mną zsyłając mi taką jedną przemądrą pomoc. Może choć powoli odzyskam moje zdrowie.

– Na Boga was zaklinam, dobry panie Krabatius... wstrzymajcie się choć do jutra z tą straszną kuracją! Wspomnicie moje słowo, że się wam polepszy jak amen w pacierzu, ino nie pijcie tych bezecnych jądów ani kropelki.

– A ten drugi medyk nic wam nie zalecił? – spytał Ostroróg.

– Santa Croce? O, to jest jeden mąż także niepomiernej nauki! Ale jego metoda jest całe jedna inna; przepisał mi ciepłe kataplazmy<sup>105</sup> na całe ciało, twierdzi bowiem, że wszelakich dolegliwości przyczyną są wilgotne wapory, dają się które wyprowadzić i precz usunąć przez gorące jedynie okłady.

– No, to chyba nieszkodliwe – szepnął Jaś do Mikołki i zaraz tonem pełnym przekonania prawił:

– Taki lekarz to prawdziwa gwiazda jaśniejąca; jego rady się trzymajcie, panie magister! A wiecie dlaczego? Śmiało wam doradzam, gdyż właśnie (tu się zaciął, szukając konceptu) stryj mój rodzony, który śmiertelnie zachorzał był przed miesiącem i przez nadziei nieprzytomny już a konający leżał, kataplazmami jakby cudem uleczony, krzepki i rzeźwy po czterech dniach z łoża powstał.

---

<sup>104</sup> antykamera – poczekalnia lub przedpokój przed sypialnią. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> kataplazm – gorący, wilgotny okład. [przypis edytorski]

– Może i dobrze radzisz, mój kochany chłopiec; będę tedy zostać przy kataplazmach. Zaiste, już pierwsza doza mikstury omdlenie mi przyciągnęła, a przykazał mi z sześciu flaszek kolejno co godzina trzy łyżki... lecz gdy nadejdzie Bisantizzi, a spostrzeże żaden ubytek leków...

– O taką drobnostkę trąpilibyście się, miły panie? Poulewamy z każdej flaszki po trosze, niech ano ma uciechę, że was uzdrowił. Kataplazmy gorące... to mi rada! Tego się trzymajcie: a rosół i wina dobrego kieliszek jeszcze nikomu nie zaszkodził. Przyniosę wam, dobrze?

– Apetyt by się znalazł, niesmak czułem srogi po miksturze, ale to już przeszło: ino ten straszny żołądek kurcz.

– Z głodu, panie magister, z głodu.

– Ha... ja zaryzykuję... rosołu parę łyżeczki.

– Zobaczycie, jak się wam polepszy! Lecę, a wrócę jak najrychlej. Spokój i ciepłe okłady! Tymczasem zaś przyjdą moi koledzy posługować waszej miłości, grać i odmieniać kataplazmy.

– Zaliżby chcieli?

– Oni? Jeszcze nas, panie magister, nie znacie: zabawę rzucą, a do was przybiegną.

– A tom sobie piwa nawarzył! – zaśmiał się z cicha Jasiak do kolegi, wychodząc z mieszkania chorego.

– Ino przypilnujmy, coby go ten truciciel nie przerobił na swoją wiarę, to wszystko będzie dobrze – odparł Ostroróg.

– Bogiem a prawdą żal mi starego i nie spocznę, póki go nie ulecę. A co się wyleży, przepości, wygrzeje pod kataplazmami, to ino na dobre mu się przyda, a nam ku zabawie. Krzyknij no po drodze na tamtych, niech idą nie mieszkając<sup>106</sup> do Niemca i godnie mu posługują. Dogonisz mnie przed kuchnią.

– A gdzież to paniczom tak pilno? Co za sprawa do królewskiej kuchni? Czy was kto posłał, czy może ino po jaki przysmaczek dla siebie? – zaczęła paziów Serczykowa, klucznica i gospodyni drugiego stołu, zwanego marszałkowskim, przy którym jadal przedniejsi dworzanie i armia paziów.

Pani Serczykowa pędziła przy dworze królewskim życie niezmiernie czynne, bo i zaopatrywanie spiżarni w różnorodne zapasy, owocowe serki i powidła na zimę, wędliny, wydawanie kucharzom, dogłądanie, przyznać trzeba nader troskliwie, by uczestnikom drugiego stołu na niczym nie zbywało, zabierało jej wiele czasu.

Dobrowolnie zaś stwarzała sobie jeszcze uboczne zajęcie, gdyż – będąc ciekawą jak Ewa, żona Lota i wszystkie siedem żon Sinobrodego, a gadulstwem nieokiełznanym przewyższając Midasowego balwierz<sup>107</sup> – wtrącała się z zapałem do spraw cudzych, wypytywała służbę na prawo i na lewo i puszczała w świat plotki niepodobne do prawdy.

W tym o tyle się różniła od Mariny Arcamone, że nie w celach złośliwych to czyniła; jeśli zaszkodziła komu swą gadatliwością, co się często zdarzało, spłakiwała się potem rzewnymi łzami i starała się złe naprawić, z czego prawie zawsze jeszcze większy kłopot wyrastał, i tak bez końca.

– O co chodzi? O co chodzi? – terkotała jak na kołowrotku. – Niech się panicze nie trują, ja usłużę.

– Bóg zapłać pani gospodyni; rosołu mocnego i wina potrzebujemy – odpowiedział Drohojowski.

– Rosółku? A jakże, w tej chwilusi przyniosę... dobrego, a jakże; jest wyborny, dla panny Papacody, osobno się gotuje. Ale Bóg jeden raczy wiedzieć, czy się na co przyda, bo już tej biedaczce niewiele się należy.

– Co pani Serczykowa powiada?

– A tak, tak, święta prawda, jak nieboszczykowi memu wiecznego zbawienia pragnę.

---

<sup>106</sup> *mieszkać* (tu daw.) – zwlekać. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *balwierz* (daw.) – fryzjer; *Midasowy balwierz* (mit. gr.) – król Midas został ukarany przez bogów oślimi uszami, o czym wiedział tylko jego fryzjer. Ten, zmęczony ukrywaniem tajemnicy, wykopał dołek w piasku i do niego wyszeptał sekret, a następnie zasypał. W tym miejscu wyrosła trzcina, a z jej szumem na wietrze tajemnica króla Midasa rozniosła się po świecie. [przypis edytorski]

- Cóż jej się stało?
- Jak to, nie słyszeliście panicze? Wždy od jednego z was o tym nieszczęściu się dowiedziałam.
- Od pazia?
- Sprawiedliwie gadam, a jakże. Pan Piotruś Stadnicki mi się zwierzył; kochany aniołeczek! Ino zmiłujcie się, wasze miłości, bo to sroga tajemnica... najmiłościwsza pani śmiercią zagroziła, gdyby kto śmiał mówić o tym.
- To niechże pani gospodyni ściśnie zęby i ucieka czym prędzej.
- Nie, nie, ja wiem, że paniczom powiedzieć, to jakby w studnię wrzucić, powiem wam, a jakże... ino że to straszne dziwy, uwierzyć nawet trudno.
- Powiadajcież prędzej, bo nas pali!
- Ano, wczoraj w ogrodzie, gdy królowa jejmość przechadzała się z pannami, nagle ziemia rozpekła się na dwoje, jak raz ponad tym miejscem, gdzie jest smocza jama; dym smrodliwy buchnął jak z piekielnych czeluści, za czym wyskoczył potwór ognisty i rzucił się na jej miłość pannę Papacodę i pokąsawszy ją, uciekł na powrót do onej pieczary. Dym się w powietrzu rozpląnął, ziemia skleiła się gładziutko, rzekłbyś wszystko przywidzenie, gdyby nie ono biedactwo tak srodze pokaleczone.
- Ach, straszne wydarzenie! – westchnął Ostroróg zasłaniając twarz rękami, by gospodyni nie dostrzegła, że się krztusi od śmiechu.
- Zaraz ją rozebrali, a jakże, do łóżka położyli, no... i w Bogu jedyna nadzieja. Ale na tym padole ziemskim jednemu piołun, a drugiemu miód, a jakże. Panna Arcamone ino przed zwierciadłem siedzi, głową sobie przytakuje, a piosenki włoskie z cicha nuci.
- Cóż za uciecha niewczesna?
- Ano jakoż się nie ma radować, gdy bez ten szpetny trafunek jasno się okazało, że Papacoda z całego fraucymeru najstarsza.
- Nie może być!
- Wcale to nieładnie przeczyć starszym, a nawet grzech, a jakże. Wždy całemu światu wiadomo, że smoki i insze ludożery rade rzucają się ino na leciwe niewiasty. O, święte panny i wdowy... czegóż ja po rosół i po wino nie idę!
- Niech się pani gospodyni śpieszy!
- Za krótką chwilę przybiegła zdyszana, z garnuszkim wrzącego rosolu i buteleczką wina.
- A dla kogo rosółek? Dla kogo? Czy który z paniczów może?
- Ej, dziękować Bogu żaden z nas, ino medyk pana Kmity zachorzał ciężko.
- A Drohojowski dodał ciszej:
- Uroki.
- I rosółem chcecie go waszmościowie kurować? Wždy lepiej od razu nóż wbić w samo serce; toć urzeczonemu kropki wody podać nie wolno, pokąd się wedle prawego przepisu uroku nie odczyni.
- Naprawdę?
- Każde jadło kamieniem, każde picie smołą diabelską się staje.
- A to kłopot!
- Powiedz waszmość raczej śmierć, a nie zmyślisz.
- Więc jakaż rada?
- Odczynić.
- Nie umiemy.
- Szczepanowa umie.
- Aaaa!
- Ach, to wybornie!
- Dziękujemy pani gospodyni. Lećmy czym prędzej bośmy się już i tak srodze zapóźnili.

– A pomnijcie<sup>108</sup>, com wam o jedzeniu mówiła! – wołała za nimi Serczykowa.

– Juści, juści, nie zabaczmy<sup>109</sup>!

Wbiegli na schody po trzy stopnie na raz, potem do pacjenta. Zastali przy nim Szydłowieckiego i Gedroycia, bardzo pilnie grzejących kataplazmy na małej kuchence i pocieszających strapionego Krabatiusa, że mimo tak ciężkiego przebiegu choroby, wszystko się na dobre odmieni.

Jaś Drohojowski przystąpił do łóżka i trochę namową, trochę przemocą, zmusił Niemca do wypicia garnuszka doskonałego rosołu i pół kieliszka wina. Chory z urojenia, który od trzydziestu kilku godzin nic nie miał w ustach prócz ohydnej mikstury, strachał się wprawdzie i bolał nad swą lekkomyślnością, ale pił ze smakiem.

– Zaprawdę... jedno nowe życie wstępuje we mnie... żołądka kurcz minął, lżej mi oddychać...

– A widzi pan magister? To wszystko sprawiły kataplazmy; trzeba słuchać doktora Santa Croce.

– O dla Boga... ktoś wszedł do antykamery... sprzątnijcie czym prędzej wino, wynieście garnek.

Słuszna była ostrożność pana magistra, gdyż nie kto inny pojawił się w komnacie, ino sam znamienity i wielce poważany nadworny medyk królowej Bony, doktor Ferdinando Bisantizzi.

---

<sup>108</sup> *pomnieć* (daw.) – pamiętać; zwracać na coś uwagę. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *zabaczyć* (daw.) – zapomnieć. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.